ROCZNIK VII.

TOM I.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

NR. 76.

KWIECIEŃ.

1911.

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ

D[ra] FELIKSA KONECZNEGO.

KRAKÓW

REDAKCYA UL. GARNCARSKA 2.

ADMINISTRACYA GROBLE L. 15 (parter).

„Świat Słowiański"

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K. (10 marek), kwartalnie 2 K. 50 hal. (2 M 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K. (1 M.). **Adres** redakcyi **Kraków, ulica Garncarska 2.**

Administracya: Groble L. 15 (parter).

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni **H. Altenberga** we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni **Wendego i S-ki.** Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 76-go:

(Kwiecień 1911). Str.

Na jubileusz Szewczenki (z ryciną: Szewczenko wśród towarzyszów roty karnej w Orenburgu 1850 r. Rysunek współczesny *Aleksandra Czernyszewa)* 241

Wieś Niedźwiedzica. Z dziejów kościoła w gubernii mińskiej, przez *Larissę* 247

Współczesna literatura litewska, przez *Józefa A. Herbaczewskiego* 273

W Polsce o Madiarach, przez *Feliksa Konecznego* 289

Przegląd prasy słowiańskiej:

Ruś 298

Z prasy ruskiej 300

„ czeskiej 305

„ słowackiej 306

„ słowieńskiej 307

Veda 308

Naši Zapiski 309

Z prasy chorwackiej 310

„ serbskiej 311

„ bułgarskiej 313

Kronika: 314

[NR 76]

NA JUBILEUSZ SZEWCZENKI.

Książę poetów ruskich..: W pięćdziesiąt lat po jego śmierci niema krytycznego wydania jego dzieł; niema monografii, z której przezierałby duchowny wizerunek poety; nawet biograficzny szkielet, prosta kronika jego życia, ma jeszcze dotkliwe luki — cóż dopiero mówić o psychologicznem ujęciu tego wielkiego serca i wielostronnego umysłu? Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe... w 50 lat po zgonie sprzeczają się ludzie nad spuścizną Szewczenki o to, jakiego on był zdania w kwestyach najbardziej zasadniczych! Skoro takie rzeczy są w nim jeszcze wątpliwe, więc cóż jest pewnego?

Wielkiego człowieka tworzą charakter i zdolność twórcza, ale w takiej sile, w takim rozmachu, że jej nie starczy teraźniejszość, że narzuca się ona przyszłym pokoleniom, wiodąc je naznaczonymi z góry szlakami, a wiodąc ku dobremu. Wielki człowiek — to siłacz w robocie nad spełnianiem Ideału.

Charakteru Szewczence któż odmówi wielkiego, głębokiego, silnego? Cierpiał za to, w co wierzył, cierpiał tak strasznie, jak rzadko kto, a nie ugiął się; nie wypierał się tego, co myślał i czynił, nie wykłamywał się od stwierdzenia swych wierzeń, uświęcał je odważnem wyznawstwem. Nie chadzał krętemi ścieżkami wobec niebezpieczeństwa osobistego.

Zdolność zaś jego — któż posiadał większą? Fenomenalny talent, który po wieki będzie wzbudzał podziw! Malarz, rytownik, trochę rzeźbiarz i wybitny poeta w jednej osobie — to się już zdarzało kilka razy i nawet w wyższym stopniu uzdolnienia, niż u niego; ale nie zdarzyło się ani razu, żeby drzemiące w sobie wielostronne talenty zdołał wyrobić do wyższego stopnia twórczości prosty pastuch wiejski, niewolny poddany, dla którego było to już podniesieniem społecznem, gdy mu danem było zostać służącym...

I znowu dowód wielkiego charakteru, że w tego rodzaju „karyerze“ on się nie spłaszczył, godność osobistą zachował i roz-

winął ją tak, że szanowali go i najlepsi z takich, którzy rodzili się i wychowywali z tym najwyższym skarbem kultury, od ojców i dziadów, z pokolenia na pokolenie pełni godności osobistej, jako nieodłącznej i jakoby przyrodzonej cząstki ich jestestwa. Tacy uznawali Szewczenkę równym sobie; a nie byliby tego robili dla samego talentu jego. Jest wśród tych świadków wartości moralnej Szewczenki długi szereg nazwisk polskich; a umiano jeszcze wtenczas w Polsce pogardzać, choćby najbardziej utalentowanym, gdy zdolnościom nie towarzyszyła cześć dla Prawdy i Dobra i służba pod ich sztandarem.

Z podziemi ówczesnego społeczeństwa wzniósł się w górę nie służalczością, nie sprytem i nie samym talentem, lecz charakterem zarazem.

Przyszłość w sercu swojem nosił, czuł to i lubiał w nią patrzeć. Z istniejącym „porządkiem“ niezgodny, wypowiadał mu wojnę tą bronią, jaką władał: intelligencyą swoją, artyzmem, pomysłami, pracując i tworząc dla Rusi, skojarzonej w jego duchu z słowiańskimi sąsiadami w myśl programu kijowskiego Towarzystwa św. Cyryla i Metodego. Nie było w tym programie chuci do łatwych korzyści, bo nie było udawania patryotyzmu przez zatopienie się w nienawiści względem drugiego narodu.

Twórczym duchem był, skoro natchnieniem swojem natchnął tysiące innych i nietylko non omnis mortuus est, ale wzmaga się i rośnie w pogrobowem życiu, coraz wpływowszy...

O rodzaj, jakość i wartość tych wpływów są spory. Lecz kto je wiedzie? Czy historycy piśmiennictwa, kultury i polityki życia narodowego? Z tych szeregów dziwnie rzadko ozwie się głos o Szewczence: ale za to wojuje jego imieniem każdy, kto dorósł do powołania reportera dziennikarskiego lub mówcy na wiecu analfabetów. Nad Szewczenką nie pracuje się niemal nic, ale za to dużo się hałasuje.

Po tragicznem życiu jeszcze tragiczniejsze dzieje jego sławy pośmiertnej. Sprofanowano go, traktując nie jako artystę i przodownika idei, lecz jakby agitatora, skazanego na pośmiertne męki wysługiwania się „partyom“ i kolejnego wyzyskiwania i wyszturchiwania przez nie. Gdyby o Szewczence wiedzieć tylko tyle, co się o nim słyszy i czytuje tam, gdzie pietyzm dla niego winien być największy i pierwszem niejako przykazaniem szacunku dla samego siebie — myślałoby się, że to był jakiś bardzo obrotny i sprytny ajent, obdarzony przytem łatwością wierszowania...

Profanujący sposób nadużywania Szewczenki oby wziął koniec przy jubileuszach jego pamięci! Już obecnie znać było pewne podniesienie poziomu, gdy obchodzona uroczyście 50-letnia rocznica śmierci zmuszała do zastanowienia się, co w nim jest pozytywnego. Miejmy nadzieję, że doba ta poruszy pióra znawców, a kiedy w r. 1914 wypadnie obchodzić stuletnią rocznicę urodzin Tarasa, będziemy mieli dokładniejszą odpowiedź na zawiłe zagadnienia jego umysłowości — i że do tego czasu rozpowszechni się poczucie, że jestto wielkim sromem, nadużywać dzieł poety do służenia złości. Gdyby to przeszło w tradycyę, imię poety byłoby sponiewierane, zszargane.

W r. 1828 usłyszano w Polsce (a słyszano i na Rusi!) słowa, posiadające historyczne znaczenie dla dziejów kultury naszej:

O pieśni gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.
Arko! tyś żadnym nie złamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy.

Wśród wszystkich, którzy podążyli za poezyą ludową, czyż najwybitniejszym objawem nie jest Szewczenko? On, którego w Petersburgu określono zrazu jako „mużyckiego poetę“, przeprowadził ową zasadę romantyzmu do ostatniej konsekwencyi, aż zacierają się granice pomiędzy pieśnią „gminną“, a jego własnem dziełem. Sam stał się poetą ludowym, zanim został narodowym. Z reguły bywa przeciwnie: poeci narodowi stają się z czasem ludowymi. Odmienność tej kolei musiała pociągnąć za sobą rozmaite konsekwencye, a stanowiące obszerne nader i wdzięczne pole do badań, jeszcze nawet nie rozpoczętych.

Polscy pisarze zrobili Szewczence sławę i pierwsi zajęli się roztrząsaniem jego dzieł; można się nawet spotkać z twierdzeniem, że Rusini galicyjscy od Polaków dowiedzieli się, że mają poetę narodowego. Nie zaginęła jeszcze tradycya polskich badań nad Tarasem, i wiemy, że są wśród nas wielbiciele jego talentu, którzy nad nim nie hałasują, lecz pracują. Mamy też otuchę, że nie zabraknie polskich o nim monografij, dorastających do wymagań współczesnej nauki.

Niejedną też stroną swego i życia i dzieła pozostaje Szewczenko w związku z dziejami naszej sprawy i naszej kultury. Wszak to Ukrainiec na wskróś, a ileż to miejsca zajmuje w pol-

skości owej doby ta Ukraina, macierz tylu wielkich imion polskich!

Nieco wcześniej od Tarasa chował się również w ukraińskiej chłopskiej chacie, wśród ludu i stepu, starszy od niego o 12 lat Bohdan Zaleski, ten, który ostatecznie skonstruował ideał Kozaka i tak go spopularyzował, że czarem swego słowa narzucił go nietylko literaturze. Jeżeli Michał Czajkowski mógł całkiem poważnie upatrywać zadanie swego życia we wskrzeszeniu Kozaczyzny, jakżeż się dziwić Rusinom? A Seweryna Goszczyńskiego pełen krwi i pożogi „Zamek Kaniowski“ (1828) jest o 12 lat starszy od „Hajdamaków“ (1840).

U nas szkoła ukraińska mogła pozostać „szkołą“, pewnym ustępem w rozwoju artyzmu, dziedziny dostępnej tylko dla najbardziej ukształconych, ładnym eksperymentem artystycznym, z miłą cechą pewnej egzotyczności. Kult kozaczy nie miał w sobie żadnych danych, żeby marzenia jego i urojenia przeszły do życia powszedniego w polskiem społeczeństwie. Inaczej na Rusi, gdzie pieśń ludowa dawała mu w lot podłoże, jakby największa propaganda; to tam było swojskiem i mogło stać się pojęciem aktualnem.

Dzisiaj wiemy aż nazbyt dokładnie, że taka Kozaczyzna, jak ją rozumiała „szkoła“ — nie istniała nigdy. Było to czyste urojenie, kawałek „literatury“ i nic więcej. Taka egzotyczność pomaga często literaturze i varietas delectat. Okres „dumek i szumek“ jest też klejnocikiem swego rodzaju w naszem piśmiennictwie, a choćby „Zamków Kaniowskich“ były całe tuziny, nie dysputowanoby o nich inaczej, jak tylko co do ich wartości artystycznej.

Ironia losu! Tyle warunków było po temu, żeby „ukraińństwo“ stało się pomostem bratniej zgody pomiędzy Polakami a Rusinami — i tyle już pracy w to włożono — a potem uczyniono z ukraińśtwa żagiew najzajadlejszej nienawiści przeciw Polakom. Lecz, iż nienawiść niczego nie buduje, niepewne to jeszcze, czy ostoi się nawet to tak szumnie głoszone pojęcie ukraińśtwa. Bardzo być może, że to tylko okres przejściowy, że negacya sama siebie doprowadzi do absurdum i wysilona zostawi tylko następnym pokoleniom groźne „memento“. Tak patrzał Szewczenko na owe przejawy nienawiści, które były przed nim...

Nie unikał ich wspomnienia, mówił o nich i dodał wyraźny komentarz, jak na nie patrzyć należy.

Szewczenko stał się bliskim współczesnym Polakom właśnie przez łączącą go z nimi miłość Ukrainy i jako jej piewca podbił sobie polski ogół czytający. Tematy Szewczenki — to ulubione tematy ówczesnej polskiej poezyi. Zabrzmiał nad Ukrainą wspaniały dwugłos polsko-ruski, a wzniósł się wysoko, bardzo wysoko. Czyżby miał przebrzmieć bez echa? Miejmyż otuchę, że ten dwugłos z wyżyn znów powróci i że ta opiewana najpiękniejszym polskim językiem „matka-Ukraina" stanie się na nowo ziemią użyźnioną pod zgodę.

W życiu Szewczenki natrafiamy raz wraz na imiona polskie, a same tylko życzliwe: z którymkolwiek Polakiem zbliżyły go losy, zawsze znajdywał przyjaciela.

Kiedy w r. 1849 po dłuższym pobycie na stepach kirgizkich i nad morzem Aralskiem, jako prosty żołnierz przybył do Orenburga, zastał tu niemało skazańców polskich, między innymi Bronisława Zaleskiego, Zygm. Sierakowskiego i Żeligowskiego (Antoni Sowa), którzy pragnąc uczcić w nim i znakomitego poetę i cierpiącego za ideę wolności i narodowości człowieka, pierwsi zbliżyli się do niego, wydali ucztę na cześć jego, na którą zaprosili innych Rusinów przebywających w Orenburgu i niejednokrotnie potem zapraszali go do siebie i gościli.

Ciekawy przyczynek do tych orenburskich czasów załączamy na str. 248 niniejszego zeszytu: obraz przedstawiający we wspólnem gronie jedenastu zaprzyjaźnionych towarzyszy orenburskiej niewoli. Są to: Bronisław Zaleski, Juliusz Kowalski, Aleksander Czernyszew, Tomasz Werner, Serednicki, Ludwik Turno, Aleksander Popiel, Domaradzki, Ludwik Lipski, Taras Szewczenko i Kolesiński [1]).

Niedługo bawił Taras w Orenburgu, bo zwierzchność ta-

---

[1]) Obraz wykonany ołówkiem przez Aleksandra Czernyszewa w Orenburgu w r. 1850, dostał się następnie w posiadanie p. Arkadego Węgrzynowskiego w Odessie, gdzie sporządzono z niego w r. 1888 kopię, której reprodukcyę podajemy. Kopia ta znajduje się w zbiorach dra Józefa Korzeniowskiego, kustosza Biblioteki Jagiellońskiej, z którego łaskawej uprzejmości korzystając, składamy serdeczne podziękowanie za zasilenie *Swiata Słowiańskiego* tak cennym dokumentem.

meczna, mając go w ustawicznem podejrzeniu, postanowiła popchnąć go głębiej na pustynie, do fortecy Marszłaku (Nowego Piotrowska), wystawionej z drugiej strony morza Kaspijskiego; dokąd zaledwie parę razy na rok przybywa statek moskiewski, gdzie na widok żagla okrętowego cała załoga biegnie z krzykiem radości na wybrzeże morskie, oficer w zachwyceniu ściska sołdata, sołdat oficera, gdzie każdy w upojeniu i szale tęsknoty i nadziei, oczekuje ze drżeniem chwili, rychło-li otrzyma nowiny od swoich“. Tak opisuje to miejsce wygnania inny znów towarzysz Szewczenki, J. Gordon, który poznał go w r. 1850 w Uralsku, przejeżdżającego na nowe miejsce wygnania [1]).

Serdeczny stosunek, zawiązany między polskimi wygnańcami a Tarasem, przetrwał aż do końca jego życia. Najznamienniejszym momentem tego stosunku była chwila, kiedy po śmierci Mikołaja I. i wstąpieniu na tron jego następcy, wydana była powszechna amnestya dla przestępców politycznych i kiedy w tej amnestyi o Szewczence zapomniano. Był on tem niesłychanie przygnębiony. Ale jego przyjaciele polscy, korzystający z amnestyi, nie zapomnieli o swoim ukraińskim towarzyszu niedoli.

Oto co pisał do niego w tych czasach Sierakowski:

„Ojcze, ten rok jest rokiem radości i szczęścia. Dziś podniosło się słońce na niebie do zenitu. Bronisława Zaleskiego zupełnie uwolniono i nie dalej, jak 1 czerwca, wraca on do rodziny, na rodzinną ziemię i ja z nim pojadę. I serce, i rozum i Bronisław powiada: pierwsza rzecz, to sprawa Twoja. Bóg błogosławił moim zamiarom, On je też utwierdzi; żyliśmy z tobą razem na Wschodzie i zrozumieliśmy wielkie znaczenie słów: Allah Akbar. W imię Boże jadę do Petersburga i na brzegi Dniepru. Nie bój się, nie zapomnę o Tobie. Dniepr mi o Tobie przypomni. Pułk, do którego mię przeznaczono, zimować będzie koło Ekaterynosławia, na miejscu Siczy. Na pierwszą wiadomość o tem napisałem „Posłanie“; otrzymasz je tego roku. Styl w niem słaby, ale myśl wysoka; nie moja ona, ale moje uczucie. Myśl to o pogodzeniu się jednoplemiennych braci, co mieszkają po obu stronach Dniepru. Jadę z pełną nadzieją, że twój los się polepszy“.

---

[1]) J. Gordon: „Sołdat, czyli sześć lat w Orenburgu i Uralsku“. W wydaniu drugiem (Biblioteka Pisarzy Polskich, tom 33, Lipsk, Brockhaus, 1865), str. 104.

W tych to czasach wspólnej niewoli napisał Szewczenko wiersz do Bronisława Zaleskiego, który kończył się wezwaniem do podania Kozakowi ręki wraz z czystem sercem:

Podajże ruku Kozakowi
I serce czysteje podaj,
I znowu imenem Chrystowym
Wozobnowym nasz dawnij raj.

WIEŚ NIEDŹWIEDZICA.

Z dziejów Kościoła w gubernii mińskiej.

Nie wiele brakło, a Niedźwiedzicę stawianoby w dziejach obok przeraźliwej w swej grozie — historyi Kroż... Na szczęście jednak ta karta z dziejów bohaterstw naszego ludu, jedna z piękniejszych, jakie posiadamy, nie jest kartą krwawą. To, że tak mało jest znaną ogółowi w całości i w szczegółach, i nietylko już szerszemu ogółowi, ale nawet bliższym jej, przypisać tylko można bezprzykładnej obojętności i apatyi naszej. Są tacy — terytoryalnie niezbyt od niej oddaleni, którzy nic o Niedźwiedzicy nie słyszeli; są inni, którzy znają parę najjaskrawszych, najznamienniejszych faktów i to niedokładnie; a ileż wieści przekręconych albo wprost kłamliwych! Sprawa ta zajmowała sobą jedynie prasę rosyjską (a w szczególności *Ruś* w r. 1905). W prasie polskiej nie pojawiła się prawie wcale. Nawet przejmująca uroczystość otwarcia pierwszego kościoła, ocalonego w listopadzie 1905 r., nie odbiła się żadnem echem na szpaltach pism polskich. Jeszcze trochę, a te szczytne, zdumiewające dzieje zaginęłyby na zawsze w niepamięci ogółu i zeszłyby na zawsze do grobu wraz z tymi szarymi ludźmi, którzy byli ich bohaterami. Czy warto było ocalić je od tego losu i starać się utrwalić — niech osądzą czytelnicy.

Niedźwiedzica, duża wieś z urzędem gminnym, leży o wiorst kilka od stacyi Lachowicze kolei Poleskiej, w gubernii mińskiej a powiecie słuckim. Sosnowy las dzieli ją od szosy idącej od Brześcia do Moskwy. Parafialny kościół niedźwiedzki, spalony w czasie najazdów tatarskich, odbudowany został staraniem ks. Radziwiłła, biskupa wileńskiego w r. 1645 pod wezwaniem św. Piotra i Pawła. Akt konsekracyi ołtarza, dokonany przez biskupa Macieja Aneutę, odbył się w r. 1714. Drewniany, skromny, typowo wiejski kościółek z bocianiem gniazdem na słomianej strze-


Zaleski
Ludw. Turno
Alex. Popiel
Komarowski
Ludw. Lipski

sze, z ciekawą starożytną dzwonnicą, dziś już nie istnieje. Rozebrano go w sierpniu 1906 r., aby na temże miejscu postawić nowy. Pozostała tylko stara plebania, ocieniona lipą olbrzymką. Parafia niedźwiedzicka liczyła kilka tysięcy dusz; należały do niej wsie: Rusinowicze, Horodyszcze, Łopatycze, Hajnin, Hajniniec, Talminowicze, Mazurki, Smoleniki, Kurszynowicze i inne.

Podanie niesie, że jeszcze za króla Olbrachta zaludniono tę okolicę osadnikami z Mazowsza i Małopolski. Nazwy niektórych miejscowości, jak Lachowicze, Mazurki, zdają się to potwierdzać.

Dzieje 40-letniej martyrologii parafii niedźwiedzickiej rozpoczynają się właściwie od r. 1866. Były to straszne w historyi i w pamięci ludzkiej lata, kiedy nad Wilnem świeciła jeszcze łuna krwawych represalii, a nad krajem zawisła śmiertelna rozpaczna cisza... Jedynym znakiem życia była silna praca rządu nad zrusyfikowaniem ludności.

Dwojaka ku temu wiodła droga: wprowadzenie do kościołów języka rosyjskiego i nawracanie na prawosławie. Do pierwszej z tych prac potrzebne było duchowieństwo i znalazło się takie, odpowiednie nowemu kursowi, ze szkoły i ducha prałata wileńskiego Żylińskiego, a zostające pod zarządem gubernatora mińskiego Tokarowa, po skasowaniu dyecezyi mińskiej. Nawracanie zaś powierzono miejscowej władzy, policyi i popom. Awanse, nagrody, zapomnienia o przeszłych, nieraz krzyczących wykroczeniach, były zachętą w tej robocie. Wykonanie pozostawiono inwencyi poszczególnych jednostek, przy zupełnej swobodzie postępowania. Otwierało się pole do zasług szerokie; zamknięcie kościoła, nawrócenie przymusowe wsi, wywiezienie księdza, wszystko to szczeble w karyerze, lub co najmniej jednorazowa nagroda. Toteż robota szła gorliwie.

Parafie katolickie w Stwołowiczach, Swojatyczach, Snowiu, Mirze, Bobowni, Hrozowie, Zamościu, i t. d... i t. d... były kasowane, księża wywiezieni, kościoły zamienione na cerkwie. Kiedy najbliższe kościoły w Krzywoszynie i Lachowiczach zabrano, a ludność znanymi sposobami nawracano, Niedźwiedzica pozostała wśród tego spustoszenia, jak oaza. Zostawiono ją na ostatek w przekonaniu, że łatwa z nią będzie sprawa.

— Tymczasem wsłuchiwano się trwożnie w hiobowe wieści,

oburzano się na podstęp w zabraniu Lachowickiej świątyni [1]), płakano razem z nieszczęśliwymi Lachowiczanami, którzy swój ból i łzy nieśli do niedźwiedzickiego kościoła — i oczekiwano swej kolei. — Oczekiwanie nie trwało długo.

Na widowni zjawia się Maciej Żabik, pośredni sprawca wszystkich następnych bied Niedźwiedzicy. Ciemna figura, z oficyalisty dworskiego awansowany na pisarza niedźwiedzickiej gminy w nagrodę za zmianę wiary, zażarty jak wszyscy renegaci, przebiegły, śledzący bacznie ruch wśród ludności, on to wraz z mroiwym pośrednikiem [2]) Masłowem, wziął w swe ręce sprawę nawrócenia parafii niedźwiedzickiei.

W początkach roku 1866, Masłow zwołać kazał zebranie gminne („schod“).

W sposób łagodny począł przemawiać do zebranych, działając naprzód perswazyą.

— Oto, bracia, Krzywoszyn i Lachowicze przyjęły już prawosławie, przyjmcie i wy. Będziecie lepszymi ludźmi, dostąpicie łask u rządu. Namyślcie się. Ja tu znów przyjdę i wszystko urządzę, ułatwię. — Jak ty myślisz, starszyna?

— Cóż ja jeden mam myśleć — odpowiedział wymijająco zagadnięty Antoni Kolesiński.

— Jakże? Ty przecież głowa! Pomyśl dobrze.

W systemie postępowania urzędowych misyonarzy leżało zawsze, jako zasada, żeby nawracać wprzód jednostki najbardziej wpływowe i znaczące. Do takich należał Antoni Kolesiński, ale wiedziano zarazem doskonale, że go skusić niczem nie będzie można. Toteż Masłow pospieszył go usunąć, a na stanowisko starszyny naznaczył prawosławnego Mikołaja Jurucia. Zjechała wówczas cała komisya, złożona ze sprawnika Masłowa, żandarmów, uriadników i Żabika, i poraz drugi wezwano wszystkie wsie katolickie do gminy. — Zebranym kazano wybrać z pomiędzy siebie dwóch przedstawicieli dla porozumienia się z komisyą. Wybrano tegoż Kolesińskiego i Józefa Kancelarczyka i postanowiono po naradzie na nic się nie zgadzać i wręcz odmówić. Gdy delegaci stanęli przed komisyą, usłyszeli znów te same namowy:

---

[1]) Władze skorzystały dla zabrania kościoła z obecności komisyi uwłaszczającej, z którą cała ludność wyległa w pole.

[2]) Urząd odpowiadający mniej więcej dzisiejszemu ziemskiemu naczelnikowi.

— Idźcie za przykładem Krzywoszyna i Lachowicz, im łaski rozdają, starszynie Krzywoszyńskiemu sam gubernator medal na piersi zawiesił za to, że on pierwszy przyjął prawosławie. I wy będziecie sławni. Pomyślcie!

Odpowiedziało milczenie

— Cóż? Jużeście się naradzili?

— Myśmy się naradzili tak: — odpowiedział z powagą Antoni Kolesiński — ciało nasze możecie wziąć, ale duszy swej w łapy wasze nie damy!

Zbici z tropu tą odpowiedzią, uważali dalszą dyskusyę za zbyteczną i rozpuścili zebranych.

Rozpoczęły się odtąd szykany i prześladowania. Dwa i trzy razy tygodniowo wzywano do gminy. Zabierano dziennie po kilka furmanek dla pisarza i starszyny i innych urzędników. Nakładano ciężary innym gminom należące, jak naprawa dróg i mostów. Żandarmi i policya snuli się nieustannie. Usiłowano wziąć podstępem. Tak np.: siedm osób wybranych z kilku wsi zapędzono do Siniawki i tam dla jakiejś nieznanej im sprawy kazano przysięgać u popa. Oczywiście zużytkowanoby tę przysięgę w sposób odpowiedni. Za odmowę zamknięto ich do aresztu, („chołodnej“) — i oddano pod sąd. Sędzia pokoju w Klecku skazał ich na zapłacenie po 10 rubli kary za nieposłuszeństwo.

Były i pojedyncze namawiania wybitniejszych z pośród włościan. Pewnego razu Żabik, starszyna i żandarm zapraszają Józefa Kancelarczyka na piwo do zajazdu. Usiłują go koniecznie spoić miodem i piwem, bo wódki nie brał do ust. Potem zaczynają mu opowiadać o prawosławiu:

— Wielka to wiara, sam cesarz ją wyznaje i wszyscy urzędnicy.

Naraz wydostają papier i podsuwają mu do podpisu. Kancelarczyk, widząc, że to nie przelewki, zrywa się z za stołu, chwyta za czapkę i ucieka.

Wobec bezskuteczności tych usiłowań, Żabik wraz z Masłowem obmyśla wreszcie i wykonywa iście machiawelski plan. Najprzód pod pozorem rewizyi spisu mieszkańców objeżdża wioski i spisuje. Potem wzywa niepiśmiennych starostów ze wsi Mazurki, Palminowicza, Ruzinowicza, Kurszynowicza i Horodyszcza (starostowie z Łopatycz i Niedźwiedzicy mimo gróźb nie przybyli, przeczuwając podstęp) — i każe im niby potwierdzić owe

spisy przyłożeniem swoich pieczęci. Mniemany spis był prośbą parafian o przyjęcie na łono prawosławia.

Gdy dowiedziano się o podstępie — było już zapóźno. Niedźwiedzicka parafia urzędownie została uznaną jako prawosławna, proboszcza ks. Łazarewicza wywieziono do Słucka, a sąsiednich księży przez konsystorz zawiadomiono, że pod groźbą wielkiej odpowiedzialności nie wolno im przyjmować Niedźwiedziczan do kościołów i sakramentów.

Masłow otrzymał order, a Żabik pieniężne wynagrodzenie (awansował dalej i obecnie piastuje urząd w zarządzie miejskim w Nieświeżu).

Odtąd rozpoczyna się walka bezwzględna, okrutna... Niedźwiedziczanie postanowili nie poddać się przemocy i podstępowi i bronić się do ostatniej kropli krwi, a solidarnie we wspólnej niedoli braterstwie! — Pomimo urzędowego zaliczenia ich do prawosławnych, pozostali katolikami — a chodziło jeszcze o nawrócenie ich faktyczne. I znów zwrócono się do znaczniejszych, Kancelarczyka i Kolesińskiego, lecz teraz już nie z namową, a z użyciem gwałtu. Kolesińskiego Antoniego za opór zaaresztowano i odesłano do Cimkowicz, aby go „błahoczynny“ nawrócił. „Błahoczynny“ zamknął go do piwnicy. Siedm dni trwało nawracanie; za opór nie dawano mu jeść. W tym czasie przybył archirej z wizytacyą parafii. Zasłyszawszy o uwięzionym, kazał go przed siebie stawić. Wyczerpany i wygłodzony Kolesiński ledwo się trzymał na nogach. Widok jego wzbudził litość w archireju.

— Zamknęliście go — rzekł — to zamknęli ale pocóż go głodzicie? Czy chcesz przyjąć świętą wiarę prawosławną? — zapytał więźnia.

— Nie! — brzmiała stanowcza odpowiedź.

— No, to „stupaj!...“

Z Horodyszczem, Kuleniemi i Jurzdyką gorzej postąpiono. Epizod ten rzuca jaskrawe światło na „działaczy“ ówczesnej doby w nieszczęsnym kraju. Gdy namawianie nie pomogło, z wiosek tych wybrano 50 osób i odstawiono je do gminy w Potapowiczach. Sprowadzono liczny zastęp policyi i kozaków, którzy stali wówczas w Lachowiczach, — dla strzeżenia przybyłych, zamkniętych w chlewie. Kilkakrotnie w ciągu dnia stawiano ich przed komisyą złożoną z popów, urzędników, żandarmów i policyi. Po

dwóch dniach daremnych namów i obietnic, chwycono się sposobu nawracania — nahajkami. Żołnierze smagali bez miłosierdzia; za każde odezwanie się policzkowano. Egzekucya ta trwała dni pięć - bez rezultatu. Wówczas chwycono się środków heroicznych. Zagnano do Podlesia przed cerkiew, bijąc nahajkami, popychając i waląc pięścią w plecy. Lecz prześladowani za nic wejść do cerkwi nie chcieli. Szewc Józef Anikiej bity nahajkami upadł na ziemię, wówczas chwycono go za nogi i w ten sposób wciągnięto do cerkwi. Od strasznego bicia skórę zdarto Piotrowi Andrusewiczowi.

Ostatecznie wtłoczono wszystkich do cerkwi. Odbyły się modlitwy i ceremonia przyjmowania na łono prawosławia. Ludzie wyrywali się płacząc i łkając, ale dwóch żołnierzy brało kolejno każdego pod ręce i przytrzymywało, podczas gdy trzeci ciągnął w tył za włosy.

Po odbyciu tej misyi uznano ich wszystkich jako rzeczywistych prawosławnych i odprawiono do domu.

Nieszczęśliwi postanowili jednomyślnie nie poddawać się gwałtowi i bronić się wedle możności. Trudno jednak było skarżyć się lub szukać sprawiedliwości. Parafianie niedźwiedziccy byli tak strzeżeni i szpiegowani, że żaden z nich nie mógł napisać prośby, ani wyjechać, bo nie wydawano im paszportów. Śledzono ich nawet wówczas, gdy przyjeżdżali na targ do Lachowicz; każdy też lękał się do nich zbliżyć, aby represyi nie ściągnąć na siebie. Tak np.: Kwiecińskiego z Lachowicz zasadzono na półtora miesiąca za napisanie im prośby. Dla uniknięcia niebezpieczeństwa wprzód zbierano podpisy, a potem wpisywano tekst.

Ostatecznie, Stefan Kolesiński, jeden z bohaterów tej sprawy, który życie za nią położył, postanowił ułożyć i wysłać protest przeciwko gwałtom i bezprawiom, jakie ich spotkały; opowiedzieć podstęp Żabika, pastwienie się i barbarzyństwa w Sotapowiczach, w Podlesiu — oraz stanowczo oświadczyć, że są i pozostaną wierni swej wierze ojczystej. Gdy zebrał ich podpisy i wrócił do domu z gotowym dokumentem, zadenuncyował go Adam Tumaszyk z Horodyszcza, pijak i renegat.

Żabik, uriadnik i starszyna etc. pospieszyli zrewidować cały dom Kolesińskiego. Znaleźli tylko skrzynkę, której w żaden sposób otworzyć nie mogli — i zabrali ją do gminy. Zbiegł się wnet tłum wielki, a Kolesiński każdemu szepnął:

— Ratujcie skrzynkę z dokumentami. Dostanie się nam wszystkim, jeśli im w ręce wpadną.

Skrzynka stała w kancelaryi gminy na stole. Porwali ją i podawali sobie z rąk do rąk. Starszyna rzucił się w pogoń, odebrał ją i upadł na nią, kryjąc ją w ten sposób. A wówczas Michał Zaguń, wielki siłacz, podniósł starszynę za pas, porwał skrzynkę i uciekł z nią do lasu.

Udało się na razie, ale sprawa ta miała jak najsmutniejsze skutki.

Rozzłoszczeni potentaci władzy gminnej udali się natychmiast do Nieświeża do Masłowa. Ukazali się mu w ubraniach umyślnie porwanych i rozdartych i przedstawili się, jako ofiary gwałtu, napadu i zniewag. Masłow co prędzej udał się do gubernatora — i w rezultacie do Niedźwiedzicy przysłano secinę konnych kozaków.

Nastały dnie straszne — które opisać trudno. Kozakom dano zupełną swobodę, kazano zaopatrywać siebie i konie w rzeczy potrzebne u miejscowych włościan. Brali więc według swego uznania bydło, owce, świnie, owies, siano, chleb. Za najmniejsze słowo protestu spadały nahajki. We dwa tygodnie ogłodzono wieś. Skarżyć się nie można było, a starszyna chodząc po wsi, mówił: „Hulajcie bratcy! Sami o sobie myślcie!“ Toteż hulali. Bili, aby im dawano wódkę, bili po upiciu się tego, co ich częstował. Godność ludzka, cześć niewiast poniewieraną była bezustannie. Trzeba było koniecznie myśleć o jakimś ratunku, a naradzić się nie było sposobu, bo pilnowano i szpiegowano. Dzielny Stefan Kolesiński usiłował wydostać się z tego oblężenia. Gdy tylko spostrzeżono, że wybiera się w drogę, aresztowano go i trzymano w gminie pod strażą.

A nad wsią zapanowało jeszcze większe przygnębienie, bo zgasła ostatnia nadzieja jakiejś pomocy i sprawiedliwości. Kolesiński jednak nie tracił ducha i czekał tylko sposobności do ucieczki. Pewnego razu, gdy straż się zagawędziła, rzucił się do drzwi. Wybiegł na ulicę i zaraz zwrócił się w stronę lasu. — Po drodze miał rzekę. Przebył ją wpław i dotarł do lasu, gdzie już bezpieczny był na razie. Przeprawę tę miał jednak później życiem przypłacić. Schronił się u łowczego lasów sawejkowskich, Maksimowicza. Ten go zawiózł w wozie ukrytego pod słomą do Kamionki, do dzierżawcy Kopylińskiego. Ztamtąd pomogli mu dostać się na stacyę do Baranowicz i do Wilna. W Wilnie Kole-

siński udał się do generał-gubernatora, przedstawił mu niedolę swoich, pastwienie się kozaków i bezprawia urzędników. W rezultacie osięgnął to, że generał-gubernator wydał rozkaz odwołania kozaków — a jemu papier na swobodny powrót do domu.

Kozaków cofnięto, ale w parę tygodni aresztowano: Stefana, Antoniego, Piotra i Ignacego Kolesińskich, Józefa Kancelarczyka i Jerzego Chodora i etapem odstawiono do więzienia słuckiego. Żona Kancelarczyka z dzieckiem na ręku towarzyszyła mu dobrowolnie.

W więzieniu przebyli rok cały. Siedzieli wszyscy w jednej celi, spędzając czas na wspólnej modlitwie i śpiewaniu pieśni nabożnych.

Lecz i tam ich ścigała gorliwie propaganda. Gdy ich wieziono jeszcze, po drodze w Hoycewiczach spotkał ich urzędnik i począł namawiać na przyjęcie prawosławia. W więzieniu odebrano im książki i zmuszano do uczęszczania na nabożeństwo w kaplicy więziennej. Pop i sprawnik przychodzili do nich z namowami. Obiecywano im wolność, gdy ulegną. Odpowiadali niezmiennie: Naznaczcie nam jakie chcecie roboty, ale dajcie swobodę modlenia się, jak chcemy.

Stefan Kolesiński, który od czasu swej ucieczki i przeprawy przez rzekę, wciąż był chory, począł gasnąć. Pozwolono umierającemu przenieść się do prywatnego mieszkania pani Jagiełłowej, gdzie umarł. — Przybył z Niedźwiedzicy Jan Kancelarczyk i począł prosić sprawnika Łabuńcowa, aby pozwolił ks. Łazarewiczowi, dawnemu proboszczowi, wywiezionemu do Słucka, pochować Stefana.

— Nie wolno aresztantowi grzebać aresztanta, — była odpowiedź.

Zaledwie pozwolono Antoniemu Kolesińskiemu, dawnemu starszynie a ojcu Stefana, opuścić więzienie, aby mógł być na pogrzebie syna. Przyprowadzono go pod silną strażą na cmentarz, ale w chwili, gdy ceremonia była już ukończoną. Nieszczęśliwemu ojcu pozwolono chwilę tylko pomodlić się na świeżej mogile ofiary dramatu — i wnet go odprowadzono do więzienia.

W Niedźwiedzicy tymczasem nie ustawała praca misyonarska. Przyjeżdżał sprawnik z żandarmami, przyjeżdżał pop z Hołdowicz, wzywano do gminy raz po razu, skłaniając do uległości. Staro-

stą wówczas był Karol Andonsewicz, który w imieniu wszystkich odpowiedział:

„Ciało wasze, ale dusza moja“.

Chciano go siec rózgami, ale zaniechano ze względu na jego wiek podeszły. Pawła Kiełbasę obito rózgami do krwi.

Ostatecznie parafian niedźwiedzickich zaliczono urzędownie do opornych i rozpoczęło się dla nich męczeńskie życie cichej walki, ukrywania się z najświętszemi obowiązkami religijnemi, co trwało aż do wydania kwietniowego manifestu.

Dla chrztów i ślubów udawano się zrazu do Nieświeża do klasztoru Benedyktynek, dopóki istniał. Tam nie prowadzono ksiąg parafialnych i kapelan po odebraniu przysięgi, że zdradzonym nie będzie, udzielał sakramentu, lecz metryk nie wydawał. Toteż policya pospieszyła rozpędzać nowo zaślubione pary, dopytując się o to, kto ślub dawał i gdzie metryka ślubna. — Odpowiadano:

— „Połączyli nas rodzice nasi“.

Dzieci nie chrzczono po 10 lat, a metryk prawnych nikt z młodszych nie posiadał. Do wojska więc brano wszystkich, nawet jedynaków. W wojsku chrzczono gwałtem na prawosławie, wciągano przemocą do cerkwi dla złożenia przysięgi.

Do spowiedzi nie chodzono po lat kilka i kilkanaście. Groziło to zbytwielkiem niebezpieczeństwem.

Za pogrzeby bez obecności popa wzywano na sąd, kazano płacić kary. Grzebać trzeba było tajnie.

Przy takim trybie życia wyrabiała się w ludności zaciętość, a jednocześnie nieufność względem każdego obcego żywiołu, jak zwykle u prześladowanych.

Solidarność i braterstwo w tej spólnej doli były za to bezprzykładne. Wystarczyło słowo, znak dany, aby znieść wszystko i dążyć z pomocą towarzyszom. Wszyscy za jednego a jeden za wszystkich stawali w tej walce.

Wyrabiał się hart, duch poświęcenia...

Ludzi tych kształcono na bohaterów — mimo woli i mimo wiedzy...

Dla zilustrowania życia opornych w ówczesnej dobie — kilka scen charakterystycznych. — Świadczą one wymownie o usposobieniu i charakterze tak prześladowanych jak i prześladowców:

Żabik, pop z Hołodowicz i żandarmi wzywają pewnego dnia do gminy rodziców, którzy mieli dzieci nie chrzczone.

— Trzeba, żebyście dzieci pochrzcili, to grzech trzymać je bez chrztu tak długo.

— I owszem, ochrzcimy je natychmiast, dajcie nam tylko księdza...

Więc znów opór zuchwały! Nie wiele myśląc, miejscowi satrapi zamykają ojców w kozie („chołodnej"), a matkom odebrawszy dzieci i wypchnąwszy je za drzwi, zabierają się do ceremonii chrztu przymusowego.

Kobiety wybiegły na ulicę z krzykiem:

— Ratujcie! ratujcie! Pop i „żandary" dzieci nam porżną!..

Uderzono na alarm — kto żył, leciał do gminy. Zebrał się tłum, a postawa jego była tak groźną, że niefortunni misyonarze zaniechali gwałtu nad dziećmi, a zadowolnili się tylko obiciem rózgami ojców najbardziej opornych, Stefana Piszcza i Michała Maksimczyka.

Najtrudniej było obronić się od obecności popa przy pogrzebach. I tak: Umiera w Niedźwiedzicy po kilkodniowej chorobie Michał Romanowicz. Pod pretekstem, że śmierć była nagłą, każą konduktowi pogrzebowemu wrócić z cmentarza do chaty i oczekiwać na przybycie lekarza dla sekcyi. Gdy tak oczekują, starosta Jan Kancelarczyk dowiaduje się, że zjechał do gminy pop żołdowicki i że odbywa się tam narada, w jaki sposób podejść, aby pochować zmarłego z udziałem popa. Kancelarczyk biegnie do chaty Romanowicza:

— Wieźcie co prędzej i pochowajcie, bo pop idzie chować.

Zaprzęgają konia i wiozą zwłoki na cmentarz. Złożyli w mogile i już zasypują, gdy ukazuje się pop, który biegnąc woła zdaleka:

— Poczekajcie, poczekajcie, trzeba jeszcze modlitwy odmówić i poświęcić!..

Na to staruszek Kazimierz Kancelarczyk podniósł w górę łopatę:

— Chadzi, chadzi, ja ciabie poswiaczu!

— Co ty stary, co ty stary!... bić będziesz?

— Podojdzi tolka, a nikoho bolsz chawać nie budziesz!..

I pop odjechał.

W Rusinowiczach umarła kobieta wskutek strasznego wypadku: spaliła się w suszowni lnu. Zjechały władze, odbyły się

oględziny zmarłej i ostatecznie kazano ją pochować popowi. Tenże sam pop hołodowicki zjawił się na cmentarzu. Rozpoczęły się pertraktacye:

— Dajcie mi pochować umarłą.

— Sami ją pochowamy.

— Będziecie za to odpowiadali sądownie.

— Być może, ale proszę sobie odjeżdżać.

Gdy się tak certują, naraz zjawia się gromada kobiet uzbrojonych w kije i widły i otacza popa. Ten groźny zastęp tak go przestraszył, że jął tylko prosić, aby go wypuszczono. Siadł na wóz i odjechał co prędzej. Nie pokazał się odtąd w Rusinowiczach.

Maksimowiczowi, owemu łowczemu, do którego uciekł Stefan Kolesiński, umarło dziecko. On sam był zapisany jako prawosławny, należało więc wezwać popa do pogrzebu. Chcąc uniknąć odpowiedzialności, Maksymowicz jednak ukrył trumienkę pod słomę na wozie i uprosił leśnika Grzegorza Czerewicza, aby zawiózł ją na cmentarz i tam pochował. Wiezie Czerewicz przez Niedźwiedzicę, popędza przejeżdżając koło gminy, nieprzyjacielskiej siedziby, aż spotyka Jana Kancelarczyka. Skinął nań, aby się przysiadł do niego. Wystarczało, że wzywał towarzysz, aby usłuchać natychmiast. Jan spostrzegł trumienkę, dowiedział się, o co chodzi i przyrzekł pomódz. Dojechali do cmentarza, pochowali dziecko, pomodlili się i wrócili do domu. Po dwu dniach wzywa ich żandarm i poczyna badać, czy to oni pochowali dziecko Maksimowicza.

— Otóż będzie wam teraz! Ja was nauczę, co to chować umarłych! Ja was na Sybir zeszlę!..

Badanie trwało długo. Zniecierpliwiony Czerewicz zawołał:

— Zdechnij i ty, to i ciebie pochowamy!

— Jak ty śmiesz!.. Czy słyszałeś, co on powiedział? pyta Kancelarczyka.

— Nic nie słyszałem.

— Bo i ty taki sam rozbojnik! My was nauczymy!.. „Won poszli!"

Za tajne pogrzeby wielu płaciło kary pieniężne i wielu stawało przed sądem.

— Panie sędzio — tłómaczył się jeden z obwinionych — jakże nie pomódz sąsiadowi, gdy wzywa w takim wypadku? Trzeba na to nie być człowiekiem!

— Da niczewo nie znaczit, nie śmiejesz pomogat'!.. brzmiała odpowiedź.

Nieustanne podejścia wyrabiały baczną przezorność. W r. 1881. przyjechał „gubernskij czlen“ i wezwał ludność do kancelaryi dla odebrania od niej przysięgi na wierność nowemu monarsze. Pisarzem gminnym po Żabiku był wówczas Mikołajewicz, godny jego następca pod każdym względem. Wmawiano usilnie zebranym, aby ci, którzy zgadzają się złożyć przysięgę na miejscu przed popem, wznieśli w górę ręce. Niektórzy gotowali się to uczynić. Aż Jan Kiełbasa, włościanin z Kuzinowicz, zakrzyknął gromko:

— Ręce w dół!.. i pierwszy uciekł przez okno, a za nim inni. Ponieważ księdza im nie dano, więc parafianie niedźwiedziccy aż dotąd nie składali przysięgi na wierność cesarzowi.

Tak upłynęło lat 20. Całe pokolenie zahartowało się w cichej uporczywej walce. Natężenie jej miało wzrosnąć, miał jeszcze paść cios największy...

Pociechą największą w ciągu tych ciężkich lat 20 był kościół i możność uczęszczania choć ukradkiem na msze św. i nabożeństwa. Prócz opornych, parafia liczyła parę tysięcy katolików urzędownie uznanych. Gdy po wywiezieniu ks. Łazarewicza przez lat dwa nie było księży przy kościele niedźwiedzickim, parafianie ci poczęli podawać prośby o naznaczenie proboszcza, zwracając się do władzy duchownej i świeckiej. Wskutek tych próśb kolejno naznaczani byli proboszczowie: Dąbrowski, Sydorowicz, Bohdziewicz, Czajkowski, wreszcie w r. 1884. przybył ks. Leon Bulwin który w historyi Niedźwiedzicy odegrał smutną i niezapomnianą rolę.

Łatwo zrozumieć, jak ważnym w takich wyjątkowych warunkach był wybór kapłana dla nieszczęśliwej parafii. Ks. Bulwin, młody, bo około lat 35 liczący, popędliwy i nietaktowny, należał do liczby księży, oddanych rządowi, którzy byli prawdziwem nieszczęściem i zmorą w historyi ówczesnej doby. Lista ich długa szczególniej w byłej dyecezyi mińskiej. Dość wspomnieć osławione nazwiska: Makarewicza, Seńczykowskiego, Jurgiewicza, Kułakowskiego, Wroczeńskiego, Świebody, Girtwojna, które niejako przeszły do historyi.

Ks. Bulwin nieustanne miał zatargi z parafianami. To przyspieszyło smutny koniec. — Złożył bowiem raport gubernatorowi, że parafia mała, że niema z czego żyć, że wobec kościołów

w Klecku i Darewie, niedźwiedzicki jest niepotrzebny. Raport ten był pretekstem do pozyskania Najwyższego rozkazu o zabraniu kościoła i oddaniu go prawosławnemu duchowieństwu na cerkiew [1]).

Działo się to w sierpniu r. 1886.

Parafianie nie wiedzieli o niczem.

Pisarz Mikołajewicz i uriadnik Juszkiewicz wręczyli staroście Józefowi Kancelarczykowi pakiet z napisem na kopercie: „Byłemu proboszczowi kościoła niedźwiedzickiego...“

— Idź, zanieś i przyjdź nam powtórzyć to, co ksiądz powie.

Te słowa pełne urągliwego tryumfu i napis na kopercie, wzbudziły odrazu pewność, że gotuje się nowy cios.

Uderzono na alarm, zaczęto się naradzać trwożnie... Wszyscy mieli w myśli fakt podstępnego zabrania kościoła w Lachowiczach. Wreszcie dnia 8-go września, na uroczystość Narodzenia Najświętszej Panny, uderzył grom.

Po nieszporach ks. Bulwin, ulegając namowom swoich zaufanych wszedł na ambonę i oznajmił zebranym:

— Dziateczki, po raz ostatni modliliśmy się w tym kościele. Odtąd zamknięty będzie.

W kościele zerwała się burza strasznego łkania. Ksiądz zaintonował „Anioł Pański“, które przerywały płacz i szlochania, i opuścił kościół.

Lud nie rozchodził się jednak. Tłumnie stał na cmentarzu. Namyślano się.

O biernem poddaniu nie było mowy. Przeciwnie, rosło i z każdą chwilą potężniało postanowienie bronienia kościoła. Zagrzewali do tego obecni Lachowiczanie, którzy dotąd pocieszyć się nie mogli po stracie swego kościoła. Rosło też wzburzenie, odgrażano się i księdzu i wszystkim, którzy przyczynili się do obecnego stanu rzeczy. O mało nie doszło do scen krwawych.

W godzinę po nieszporach, ksiądz przysłał swego pisarza, którym był żyd, Icko Zając, dla zabrania z kościoła niektórych rzeczy i przeniesienia ich na plebanię. Żyd wdrapał się na ołtarz i zaczął zdejmować świece.

Na widok tej profanacyi, lud oburzony rzucił się na żyda.

---

[1]) Niedźwiedzica liczyła czterech prawosławnych.

Odebrano mu rzeczy kościelne i poturbowanego srodze wypędzono z kościoła. Wówczas organista Karol Handyr zamknął kościół i wyszedł na cmentarz. W tej chwili otoczyły go kobiety, rzuciły o ziemię i odebrały mu klucze. Odtąd przez lat 19 kościół miał być zamknięty, a klucze zaginęły w sposób tajemniczy, że nie mogli dojść, co z niemi zrobiono, gdzie przez kogo schowane, choć krążyły o tem różne legendy.

Stał się fakt wagi historyczej.

Tymczasem Handyr biegł do księdza z oznajmieniem o tem, co się stało. Ksiądz zerwał się na równe nogi i tak organistę, jak i starostę Józefa Kancelarczyka poczęstował kilku policzkami. Lud ze wsi okolicznych i z Lachowicz nie rozszedł się do domów. Czuwano przy kościele całą noc.

Nazajutrz raniutko ludność tłumnie przybyła na plebanię z wyrzutami do księdza za wczorajsze wysłanie żyda do kościoła. Ksiądz przestraszony tłómaczył się, że go wcale nie posyłał. Zając siedział w kancelaryi i pisał. Rzuciły się do niego kobiety lachowickie i zaczęły bić. Odzież podarto na nim do szczętu i pewnoby żywym nie wyszedł z tych mściwych rąk, gdyby nie interwencya rozważniejszych i obrona uriadnika, który nadbiegł.

Cały ten dzień czuwano przy kościele w dalszym ciągu. Ludność niedźwiedzicka chętnie żywiła przybyszów z Lachowicz i innych sąsiednich wiosek. Trwali razem, jedną myślą ożywieni. O powrocie do domu nie myślał nikt. Klucze tymczasem pochwycone przez Ewę Rewiako, oddane były do schowania Janowi Hrybowi, który je ukrył pod podłogą w śpichrzu. Ksiądz był w wielkim kłopocie. Zamierzał tego dnia zrana spożyć Hostyę, pozostawioną na ołtarzu i następnie oddać kościół komisyi, która w tym celu zjechać miała. Niespodziane zamknięcie kościoła udaremniło te plany i Najświętszy Sakrament pozostać miał w ołtarzu nietknięty — aż do otwarcia kościoła w roku 1905.

Dnia owego oczekiwana komisya ze Słucka nie przybyła. Dnia 10. września rano ktoś dał znać, że w plebanii zjawił się pop. Tłum udał się na plebanię, otoczył ją i grożąc księdzu, żądał wydania popa. Bulwin przez okno pertraktował, tłómacząc, że popa niema.

Tłum dobijać się zaczął do drzwi.

— Dawaj tu popa, bo inaczej zginiesz!... — wołano. Nadbiegł uriadnik z policyą wiejską, by bronić księdza. Tłum drzwi wywalił i wpadł do mieszkania.

Szukano popa w szafach, pod kanapami, na strychu. Ktoś krzyknął:

— Ksiądz go schował w „sklepie!“

Rzucono się do piwnicy. Lecz pop już dawno umknął tylnemi drzwiami przez ogród owocowy do gminy.

Tymczasem do Niedźwiedzicy wyjeżdżała komisya złożona ze sprawnika Łabuńcowa, z asesora, 6 uriadników, tyluż żandarmów i dziekana Wróczeńskiego. Przy bramie stał stary Buszejko, dawny organista lachowicki, który wołać począł:

— Ludzie ratujcie! Kobiety, nie dajcie się tym krukom! Bierzcie koły!...

Dwóch uriadników dopadło do niego i poczęli go razem bić nahajkami, aż dopóki nie upadł. —

Tłum zwrócił się w śtronę przybyłych. Sprawnik rozpoczął pertraktacye.

— Oddajcie kościół dobrowolnie!

— Nigdy i za nic. — Raczej umrzemy! — brzmiała niezłomna odpowiedź.

— Przecież rozkaz Najwyższy jest wyraźny. Jeśli go nie usłuchacie, to będziecie buntowszczykami i srogo was ukarzą.

— Nieprawda! My wszyscy cesarzowi jesteśmy, więc cesarz krzywdzić nas nie może. To „naczalstwo“ nas gubi!...

Ks. Wroczeński również jął namawiać, aby oddali kościół, albo przynajmniej Najświętszy Sakrament wynieść pozwolili. — Płacz ludu i jego nawet nieco wzruszył, bo gdy policya odeszła, powiedział:

— Pozwolicie: na mnie narzekać nie będziecie mogli; a nie pozwolicie: na siebie narzekać będziecie.

Cały dzień komisya bezradnie krążyła około ogrodzenia kościelnego, nie śmiejąc wejść. Tłum kilkutysięczny zagradzał drogę. Stał przed kościołem milczący, ale gotowy na wszystko, niezłomny w swej woli; drzemiąca potęga, którą każdy niebaczny akt gwałtu mógł pobudzić do czynów nieobliczalnych. — Przybyłych lęk zdjął; spisali tylko protokół, nazwiska kilkudziesięciu prowodyrów — i odjechali z niczem.

Ks. Bulwin przez cały ten czas zachowywał się cicho; był bardzo przygnębiony, blady. — I on odjechał, żegnany przekleństwami.

W kilka dni potem Jan Kancelarczyk, Kazimierz Cho-

dor i Wincenty Hładki udali się do Mińska do gubernatora z prośbą, aby kościół wrócono i naznaczono nowego księdza.

— Ach! wy księdza chcecie? — A klucze gdzie?

— Nie wiemy! — brzmiała odpowiedź, niezmiennie odtąd powtarzana przez lat 20.

— Wy nie wiecie? — Kłamiecie! Ja wam pokażę! Ja was pozsyłam, ja wam pułk kozaków przyszlę, oni z wami pohulają! Wy poznacie, co to klucze zabierać! Żeby mnie zaraz były! — rozumiecie! — Zaraz!

Tu przerwano mowę i zwrócono się do innych. Po pewnym czasie:

— A cóż, klucze są? Wy się namyślili?...

— Nie wiemy, gdzie klucze. — Tylu było ludzi przy zamknięciu kościoła — zabrali!

— A chcecie, żebym wam księdza naznaczył! Jakże on wejdzie bez kluczy? Klucze oddać! inaczej z wami rozprawię się tak, że popamiętacie. — Stupajtie!...

Tak się zakończyła pierwsza prośba o zwrot kościoła.

Niebawem przyszedł rozkaz o skasowaniu parafii niedźwiedzickiej i przyłączeniu jej częścią do Klecka, częścią do Darewa. — Do Klecka parafianie mieli od 35 do 70 wiorst; do Darewa od 25 do 60. — Pomimo jednak tej odległości, pomimo dróg złych i marnych koni, przez lat dwadzieścia widywano gromady Niedźwiedziczan, wytrwale dążące do tych dwóch pozostałych kościołów.

W historyi Niedźwiedzicy zaczyna się okres nowy. O bezprzykładną stałość, z jaką ludność broniła swego kościoła, rozbijały się wszelkie zakusy, wszelkie usiłowania. Zjeżdżały władze, namawiały, groziły, aresztowały po kilka, kilkanaście osób — i zawsze odjeżdżały z niczem. Zjawiali się i księża, jak Jurgiewicz, Seńczykowski, Wroczeński; usiłowali trafić do przekonania — również bezskutecznie.

— Dziateczki, — perswadował dziekan Wroczeński — Hostya psuje się w zamknięciu, grzech za to na was spada; pozwólcie mi ją spożyć.

— Bądź ty o nasze dusze spokojny! — odpowiedziała mu jedna z kobiet.

Władze przywiozły kiedyś z sobą księdza dziekana Kosińskiego z Nieświeża... w nadziei, że jemu lud zwierzy tajemnicę ukrywanych kluczy.

— To przecie wasza zwierzchność duchowna, winniście księdzu posłuszeństwo — wmawiała policya.

— Kab jon byu dobry, toby z wami nie pryjechau — brzmiała odpowiedź!

Lud ten równie niezachwianie przyjmował groźby i argumenta, trwając niewzruszenie w swem postanowieniu.

I oto niedźwiedzicka niezałatwiona sprawa staje się odtąd cierniem, kością w gardle władzom powiatowym i gubernialnym. Przy zmianach przekazują ją sobie wiecznie w tem samem stadyum.

Tymczasem ludność nie poprzestaje na biernym oporze. Rozpoczyna się okres starań, podawania próśb, to do władz gubernialnych, to do ministeryalnych, to do arcybiskupa, to na Najwyższe imię. — Wszędzie znali już Niedźwiedziczan i sprawa coraz nabierała rozgłosu. Oni tymczasem nie szczędzili kosztu ani starań. Jedna wieś Kurzynowicze wydała przez szereg tych ciężkich lat 1328 rs. Cała parafia poświęciła na te starania do 8000 rs. — Odznaczyli się najbardziej w tych zabiegach: Stanisław Tatarynowicz, Kazimierz Chodor, Jan Kiełbasa, Antoni Junik, Jan i Józef Kancelarczykowie. Prośby układał im zwykle adwokat p. Olszamowski w Petersburgu, dla którego wdzięczność parafian ogromna.

Pierwsza delegacya, wyprawiona do Petersburga z zebranemi 300 rs. na drogę, złożona była z Kolesińskiego, Tatarynowicza i Ludwika Sudnika. Przybycie do wielkiego nieznanego miasta tak oszołomiło biedaków, że nikogo nie widząc i nic nie zrobiwszy, po trzech tygodniach daremnego wałęsania się po ulicach, wrócili do domu. Nie zniechęciło to jednak Nieźwiedziczan, i co roku prawie wysyłali kogoś do Petersburga. Szukano też rady wszędzie; wypełniano, co kto poradził, często bezkrytycznie i z daremną stratą trudu i kosztu. I tak Petrenko, „stołonaczalnik" z Mińska, chcąc wyzyskać położenie, podjął się niby przywrócić kościół za wynagrodzeniem 100 rs. — Złożono mu na razie 25 rs. i tyle go widziano.

Pełnomocnicy parafii ściągnęli na siebie w końcu represye rządowe.

Wyrokiem Plehwego, wydanym 1904 r., zostali skazani na więzienie w Słucku, a następnie na wysiedlenie 2-letnie z miejsca zamieszkania. Nowy minister spraw wewnętrznych, Światopełk-Mirskij, wyrok ten skasował.

Łatwo sobie wyobrazić, jak takie anormalne warunki życia wpływały na udręczoną ludność. W kronikach sądowych często występowali niedźwiedziccy parafianie... W paru wsiach szerzyć się zaczęła sztunda. — Nieufność i zaciętość, cechy prześladowanych, wciąż rosły. A zamknięty kościółek wciąż stał, zmieniając się zwolna w ruinę i kryjąc w ołtarzu niezabraną Hostyę.

Po 15 latach milczenia, pewnego wieczoru ozwały się dzwony. — Dzwoniły na wieczny odpoczynek stryjowi Jana Kiełbasy. — Zardzewiałe były, musieli je odczyszczać i smarować, lecz odezwały się, przejmując do głębi tym zapomnianym, niby z grobu płynącym głosem. Rzecz naturalna, zjawiła się zaraz policya, bito nahajkami, lecz nic to nie pomogło. Odtąd stara Serafina, postać charakterystyczna, jedyny dzwonnik w swym rodzaju, pilnowała tego, by rodzinne dzwony żegnały wiernych obrońców, opuszczających na zawsze bohaterski posterunek.

W r. 1900 wielka pociecha spłynęła na biedaków. — Przyjechał z kolei w przebraniu dzielny ksiądz X... znany misyonarz wśród ludności prześladowanej, odważnie niosący im pociechę religijną. Przez dwa dni w Rusinowiczach chrzcił, spowiadał, dawał śluby, poczem podążył dalej — a za nim płynęły błogosławieństwa ludu i — policya.

W r. 1903, gubernator miński, hr. Musin-Puszkin, postanowił wreszcie zakończyć historyczną sprawę. — Zjechały władze z marszałkiem szlachty słuckiej, Łopuchinem, na czele — tym razem dla układów. Niedźwiedziczanie oddadzą kościółek swój na cerkiew w myśl ukazu z r. 1886, a za to dostaną pozwolenie na wybudowanie nowego, w innem miejscu. — Propozycya na razie mogła się wydać ponętną, stary drewniany kościół, przez tyle lat opuszczony — ledwo się trzymał. Ale ludność nie wierzyła już żadnym obietnicom — a waląca się świątynia posiadała cenę niezrównaną, cenę przelanych łez i krwi, poniesionych ofiar, stoczonych walk... Serca nierozerwalnie przyrosły do tych ścian, do tego miejsca, gdzie leżą ich dziadowie i pradziadowie, kościół stał się relikwią — i teraz go oddać za obietnicę?

Raz jeszcze w Niedźwiedzicy tłum kilkutysięczny objawił jednobrzmiącą wolę, raz jeszcze padło niezłomne:

— Nie damy!

I raz jeszcze ci silni, ci wszechmocni, musieli odjechać z niczem, pozostawiając po sobie represye. Dziewięciu parafian, wy-

danych przez uriadnika Olszewskiego z Siniawki, który szpiegował w przebraniu żebraka, wysłano na trzy lata.

Przyszedł nareszcie rok 1905, a z nim ukaz o tolerancyi. Z uciśnionych piersi zdjęto kamień grobowy, zabłysła zorza... W obliczu całego świata pozwolono Niedźwiedziczanom wyznawać swą wiarę.

Zdawałoby się, że tu finał całej historyi. Stajemy jednak dopiero wobec najdramatyczniejszych jej epizodów.

Z ożywioną nadzieją słano nowe prośby do Petersburga. A czas był wielki na jakieś stanowcze postanowienie, bo waliły się ściany, dach przeciekał i kompletne zniszczenie groziło ołtarzowi i całemu wnętrzu. — Arcybiskup Szembek w czasie swego pobytu w Mińsku i Nieświeżu w czerwcu 1905 r. zapewnił deputacyę przybyłą z Niedźwiedzicy, że mówił sam z ks. Światopełk-Mirskim o zwróceniu sławnego już w Petersburgu kościoła i jest nadzieja rychłego i szczęśliwego zakończenia sprawy. Tymczasem Szembek zmarł, Światopełk-Mirskij ustąpił — a następca jego Bułygin osobiście odpowiedział przybyłemu do niego Chodorowi, że odpowiedź na prośby „w swoim czasie“ nadeszlą do Niedźwiedzicy. Odpowiedź zaś była bardzo niepomyślną, bo minister Bułygin zawiadomił, że nietylko prośby nie uwzględniono, ale nadal nie będą przedstawiane do Najwyższej decyzyi.

Tymczasem nadchodziły jesienne słoty, grożąc zupełnem zniszczeniem świątyni. W ostatnich dniach sierpnia r. 1905 Niedźwiedziczanie wykonali ów czyn zuchwały, ów zamach stanu, który miał przejąć zgrozą wszystkie władze gubernii, poczynając od najwyższych, i poruszyć siły zbrojne w obronie „naruszonego porządku“. — Oto ni mniej ni więcej... pokryli dach kościoła słomą i podparli ściany. Pracowano trzy dni i trzy noce — a praca była bezprzykładną, bo brało w niej udział literalnie wszystko, co żyło, zaczynając od starców, a kończąc na dzieciach.

Pod koniec trzeciego dnia, zjawia się słucki sprawnik Stożkow i assesor Strokowski.

— Co wy robicie?...

— Kościół prawim! — odpowiedziano raźno.

Stożkow zawrócił z miejsca i wraz z naczelnikiem ziemskim, Komornym, udał się wprost do Mińska do gubernatora Kurłowa. Tam zdecydowano „dla uśmierzenia buntu“ wysłać do Niedźwiedzicy... wojska aż dwie roty.

Odkomenderowano ze Słonima dwie roty żołnierzy pod komendą kapitana Krawczenki i trzech innych oficerów.

Nadchodzi chwila najwyższego napięcia: nad nieszczęśliwą wioską zawisa krwawe widmo Kroż. Jeden ruch nieobliczalny, jeden krok — a skutki straszliwe, mrożące krew w żyłach.

Oto jak o przybyciu wojska opowiada naoczny świadek, wspomniany już parokrotnie Jan Kiełbasa.

Znajdował się właśnie na stacyi w Lachowiczach, gdy ujrzał przybyłe pociągiem i szykujące się do pochodu wojsko.

— Dokąd wy idziecie? — spytał żołnierza, zaciekawiony niezwykłym widokiem.

— Do Niedźwiedzicy.

— Po co?

— Bo tam bunt.

Jan Kiełbasa biegiem przez pola dopadł wsi, podczas gdy wojsko maszerowało drogą. Wieść z ust jego rozniosła się w jednej chwili. W Niedźwiedzicy podniósł się naraz wielki płacz, ten przejmujący płacz bezsilnych wobec ogólnego nieszczęścia...

Kto zbadał, jakiemi drogami płyną zbawcze natchnienia w chwilach przełomowych? Gdy wojsko wkraczało do Niedźwiedzicy „uśmierzać bunt“, powitane zostało przez ludność chlebem i solą, oraz prośbą o wzięcie mieszkańców pod opiekę i obronę przed policyą...

Było to więcej niż niespodzianką, było przedewszystkiem z gruntu fałszywą pozycyą. Około kościoła ludzi nie było. Broń tedy złożono w kozły i rozlokowano się po chatach. Żołnierze szemrali, oficerowie nie wiedzieli, jaką przybrać postawę. Zapewniono ich — i sami mogli się o tem przekonać, — że o „buncie“ nie śniło się nikomu. Ludność modliła się spokojnie przed zamkniętemi drzwiami kościoła.

Ale nowa niespodzianka wzburzyła ludność.

8-go września, 19 lat od ostatniej Mszy św. w Niedźwiedzicy — o godzinie 5 rano kościół otoczył wojskiem do koła sprawnik Striker i opieczętował drzwi, oznajmiając zebranym, że sam, albo z pomocą popa, wyniesie Najświętszy Sakrament i sprzęty kościelne.

— A co, dawniej myśmy się was bali; teraz wy nas się bać będziecie — urągano przytem pod osłoną bagnetów...

Wśród tłumu, który już się zebrał, pomimo wczesnej pory, zerwał się groźny pomruk, który rósł, jak grom... Ten nowy

gwałt był już zbyt jaskrawy po świeżo wydanym manifeście tolerancyjnym, zbyt naciągnięte struny pękały, przeważała się szala i niedoli i cierpliwości... Jednomyślnie postanowiono dać się zagrzebać pod gruzami kościoła, krwią go swoją oblać, zginąć najokropniejszą śmiercią — ale nie oddać, ale nie oddać!...

I znów krwawa, ponura chmura zawisła nad Niedźwiedzicą... Lecz Opatrzność czuwała nad męczeńską wsią, bo oto raz jeszcze nieszczęście zażegnane zostało.

Wśród zrozpaczonych i na wszystko gotowych, wśród drżących z gniewu i bólu, zjawili się dwaj ukochani kapłani, ks. Harasimowicz z Klecka i ks. Wańkowicz z Darewa.

Lud uspokoił się odrazu.

Osobna wzmianka należy się obu wspomnianym księżom, którzy odtąd nierozerwalnie będą związani z niedźwiedzicką sprawą, a raczej z jej szczęśliwym epilogiem.

Obaj należą do tego nowego pokolenia duchownych, wychowanych przez petersburskie seminaryum w szkole dzielnego biskupa Simona, których przybycie w Mińszczyznę na miejsce smutnej pamięci księży renegatów, nową erę w dziejach religijnych kraju otworzyło.

Pozyskanie ufności i miłości dręczonego ludu nie przyszło odrazu. W każdym nowym przybyszu widzieli oni wroga, w każdym czynie — podstęp. Gdy ks. Harasimowicz, mianowany proboszczem kleckim po osławionym Jurgiewiczu, przybył do Niedźwiedzicy, którą miał zarządzać, przyjęto go ogromnie nieufnie. Nikt się nie zbliżył dla przywitania, spoglądano nań z podełba. A nuż ten nieznany ksiądz w nocy wyniesie Najświętszy Sakrament z kościoła? Postawiono więc straż i wyprawiono do Klecka ze 20 ludzi dla powzięcia wiadomości. Gdy następnie organista przyjechał z opłatkami i spisywał parafian, wielu odmówiło podania swych imion. Może to nowy podstęp w rodzaju sprawki Żabika?

W styczniu 1905. przyjechał ks. Harasimowicz poświęcać domy. Niektórzy zamknęli swoje i sami wyszli.

— Jeżeli i ten nas ma zdradzić, — mówili — to będziemy mieli tę pociechę, że w naszych domach nie był.

Ksiądz nie zrażał się tą postawą ludu. Całem sercem przygarniał ich do siebie, oddał się szczerze sprawie — i oto po rocznej pracy stopniała bolesna niewiara, gromadzona tyloletniem

doświadczeniem, a wówczas raz pozyskana ufność była bezgraniczną, również jak wpływ nad temi zaciętemi sercami.

Gubernator miński Kurłow, wydawszy rozporządzenie na wysłanie wojska do Niedźwiedzicy, był jednak niespokojny. Wezwał dziekana mińskiego ks. Michalkiewicza i prosił, aby on wpłynął, żeby nie było przelewu krwi w Niedźwiedzicy. W odpowiedzi ks. Michalkiewicz zaznaczył, że to mogą zrobić tylko miejscowi proboszczowie ks. Harasimowicz i Wańkowicz których należy wezwać. Wskutek depeszy zjawili się obaj w Mińsku. Gubernator, chociaż był chory mocno i leżał w łóżku, jednak sam się chciał rozmówić z księżmi. Zarządzający kancelaryą gubernatorską, Zoryn, usiłował obwiniać parafian i ubocznie księży, ale wobec jasnych dowodów, jakie złożyli, zdawało się, że gubernator uspokoił się, tem bardziej, że robót więcej nie prowadzą, przy kościele i prowadzić nie będą. O wojsku już mowy nie było Jednak przeczuciem wiedzeni obaj księża pośpieszyli do Niedźwiedzicy, gdzie znaleźli już wojsko i ludność przygnębioną.

Zażegnawszy szczęśliwie grożącą burzę i zawstydziwszy Strikera w obecności oficerów ostrem wytknięciem jego postępku i nakazawszy ludności jak najspokojniejsze zachowanie się, księża udali się znowu do Kurłowa, do Mińska. Ks. Harasimowicz przyjęty został dopiero na trzeci dzień i wskutek stanowczego żądania widzenia się z gubernatorem, a przyjęty zaś był nader nieprzyjaźnie. Kurłow ani chciał słyszeć o cofnięciu wojska, ani nawet o oznaczeniu terminu w przybliżeniu. Toteż ks. Harasimowicz, złożywszy na piśmie sprawozdanie o zaszłych wypadkach, tendencyjnie przekręcanych przez policyę — udał się do Petersburga. Tam przez trzy tygodnie prowadził niezmordowanie zabiegi, udając się do wielu dygnitarzy. Bułygin, Trepow, Witte, urzędnicy dworu i departamentów obcych wyznań i policyi, mieli tę sprawę w swych rękach.

Nastrój chwili był sprzyjający. Na horyzoncie politycznym panowała wówczas tak zwana przez warszawską prasę „chwila osobliwa". Prasa rosyjska poczęła szeroko komentować zajście w Niedźwiedzicy. *Ruś* zamieściła artykuł p. t. „Zupełnie zbyteczny dramat"; *Nowoje Wremia*: „Nierozumna gorliwość" — *Nasza Żiźn*: „Niechaj idzie w świat". Wszystkie pisma petersburskie przedrukowały te artykuły, opinia stolicy była poruszoną; tak Kurłow, jak i Striker zawiśli na włosku...

Kurłow wystosował odpowiedź, wydrukowaną w *Rusi*

i *Naszej Żiźni*, w której kategorycznie zaprzeczał opisywanym faktom, grożąc, że zwróci się do prokuratoryi w celu pociągnięcia winnych oszczerstwa do odpowiedzialności.

Ruś wystosowała wtedy ostry artykuł, w którym wyrażając zadowolenie, że choć raz Kurłow chce obronić się przed sądem, zwraca uwagę, że ks. Harasimowicz w memoryale wystosowanym do Bułygina, a wydrukowanym w *Rusi*, pod słowem kapłańskiem za prawdziwość opisanych faktów ręczy. Niechże więc sąd rozstrzygnie, czyje słowa są prawdziwe, Kurłowa, czy kapłana, któryby się nie zdobył na publiczne kłamstwo.

Rezultat zabiegów ks. Harasimowicza był ten, że ostatecznie 28-go października 1905 r. wydany został Najwyższy ukaz o otwarciu kościoła niedźwiedzickiego dla kultu katolickiego...

Wojsko, które stało miesiąc, wprzód jeszcze cofnięto z rozporządzenia Trepowa. Tak więc energiczne starania ks. Harasimowicza, połączone z nastrojem chwili i pomocą prasy, dokonały nareszcie tego, co już się zdawało nieurzeczywistnionem marzeniem.

I oto dla tego niezłomnego ludu, zahartowanego na stal w ogniu prób różnych — przyszły dnie słoneczne szczęścia i tryumfu — błogosławione dnie nagrody...

11-go listopada przybył Striker dla zdjęcia samowolnie nałożonych pieczęci. Otoczył go tłum, w którego milczeniu było urąganie. Sprawnik już nie brawował, przeciwnie, był skromny; uspakajała go tylko obecność księży i obywateli.

— Macie prawo zdjąć pieczęcie — oznajmił, nadrabiając miną.

Nikt się nie poruszył.

— Sam je przykładałeś, sam je zdejm. Nie miały jeszcze czasu dobrze zaschnąć!...

Striker zerwał pieczęcie.

— Dajcie klucze, otworzymy!...

Tłum poruszył się i odpowiedział zwrotką powtarzaną przez lat 19:

— Kluczy nie damy!

W obecności policyi nie ufano!

Wówczas urzędnicy usunęli się zupełnie z oczu tłumowi i ks. Harasimowicz sam przystąpił do otwarcia kościoła kluczem dobranym, bo owe historyczne odnaleść się nie dały.

Otwarły się wreszcie podwoje, strzeżone wiernemi sercami całego pokolenia...

Lud falą runął do wnętrza. Tracono zmysły ze szczęścia; całowano ławki, ściany, tulono się do filarów, biorąc je w ramiona. I znów zerwała się burza płaczu, ale płaczu błogosławionego...

20-go listopada, w niedzielę, naznaczono pierwsze nabożeństwo. Dzień ten, najpiękniejszy, jaki oglądała bohaterska wioska, błysnął dziwnie pogodny i promienny, pomimo późnej jesieni. Kościół, dzwonnica, domy, ulice całe tonęły w zieleni świerkowych girland, jaśniały wesołą barwą biało-amarantowych chorągiewek. Kto mógł i czem mógł, przyczyniał się do upiększenia i uświetnienia uroczystości. Z Mińska przybył chór śpiewaków kościelnych w liczbie 21. — Zjechali się księża z okolicy bliższej i dalszej: ks. Graszys ze Słucka, ks. Perekszlis ze Starczyc, ks. Oskierko z Cimkowicz, ks. Znisko z Mińska — i oczywiście księża Wańkowicz i Harasimowicz. Od 5-ej z rana spowiadano w kościele: Msze św. wychodziły jedna po drugiej. Tłum przybyłych zdaleka zalewał świątynię i plac przed kościołem. Sumę odprawiał ks. Harasimowicz. Na kazalnicę wstąpił ks. Wańkowicz. Mówił porywająco, w natchnieniu:

„Oto wszyscy obecni znajdują się na miejscu cudu. Bóg okazał widomie łaskę swoją. Hostya św. w ołtarzu z takiem poświęceniem broniona, została znaleziona tak świeża i nietknięta czasem, jak gdyby wczoraj konsekrowana, a nie przed laty 19“.

Płacz głośny tłumów zagłuszył dalsze słowa księdza. Najbardziej oporni i zahartowani płakali, jak dzieci. Posypały się datki na kościół. Świątynia okazała się tak zniszczoną, że służyć dalej nie mogła. Ks. Harasimowicz z niemałym trudem wystarał się o pozwolenie zbudowania nowego kościoła murowanego według planu Szyllera, na temże samem uświęconem miejscu. Ostatnie nabożeństwo w sławnym kościółku odbyło się 15-go sierpnia 1906.

Pomimo przywiązania i wdzięczności, jakie żywią Niedźwiedziczanie dla swego kapłana, raz jeszcze wróciła fala dawnej nieufności, gdy im zapowiedział, że trzeba przystąpić do rozbiórki kościoła. Żal ścisnął serce, nie wiedzieli co myśleć... bo trudność w zatwierdzeniu planów znowu napełniła trwogą. Uspokoili się dopiero, gdy im ksiądz pokazał plany nowej pięknej świątyni.

Obecnie nabożeństwo odbywa się w prowizorycznej szopie. Pomimo całej ofiarności, niedźwiedzicka parafia jest ubogą — a raczej zubożałą wskutek takich przejść. Toteż do całości potrze-

bnej sumy na budowę nowego kościoła daleko. Trzeba mieć nadzieję, że szerszy ogół pospieszy z pomocą, bo trudno nie przyznać, iż wśród nadzwyczajności nawet, do których przywykliśmy, historya Niedźwiedzicy jest jednak wyjątkową. A zarazem napełnia dziwną otuchą — i radośną dumą... I pozostanie w dziejach — promienna miłością i przelanemi łzami, ku chwale tych serc wiernych, ofiarnych i prostych, które ją utkały krwawym bólem swoim.

Ofiary na budowę kościoła niedźwiedzickiego przyjmuje ks. Harasimowicz, Kleck, gubernia mińska.

Larissa.

WSPÓŁCZESNA LITERATURA LITEWSKA.

...Otwieram księgę ludowych legend litewskich i czytam:

Pewnemu żołnierzowi, Litwinowi, wciąż się śniło, że w Kownie — przy Zielonym moście, w ogrodzie pod wielkim kamieniem znajdzie dużo kluczy; temi kluczami otworzy drzwi tajemne i znajdzie skrzynię ze wszystkiemi litewskiemi książkami, których wszakże nie powinien ruszać. „Później znajdziesz mnie z rycerstwem, — we śnie mówiło doń młode dziewczę — ja jestem litewskiego króla córka zaklęta, aż do tego pokolenia; ty mnie pocałujesz, zawrzemy ślub, wyjdziemy w jasny dzień z rycerstwem i odbierzemy od Moskala całą Litwę! Jeżeli tak uczynisz, powstanie Litwa, powstanie!“... I wciąż mu się śnił ten dziwny sen; nie miał ani jednej nocy spokojnej. Wreszcie nie wytrzymał i poprosił „starszego“ o radę, co czynić powinien. „Starszy“ udał się wraz z nim i oddziałem żołnierzy na wskazane miejsce, kazał odwalić kamień i kopać. Znaleźli pęk kluczy i wszyscy ujrzeli przez szklanne drzwi królewnę, siędzącą na tronie w otoczeniu rycerstwa. „Starszy“ kazał otworzyć skrzynię i czytać znalezione księgi. Lecz nikt nie umiał ich czytać. Znalazł się tylko jeden prostaczek, który umiał te księgi czytać i rozumieć. Lecz jak tylko chciał opowiedzieć to, co przeczytał, natychmiast padł trupem. Zawołano drugiego prostaczka. Ten noc całą czytał i, jak tylko zaczął opowiadać, padł trupem. „Starszy“ się przestraszył, kazał zakopać i kamieniem przywalić jamę... Lecz temu żołnierzowi, Litwinowi, znowu się przyśniła ta królewna i powiedziała: „Przez lat 7 nie ujrzysz

mnie; ja teraz jeszcze głębiej w ziemi się ukryłam! Jak radziłam, trzeba było zrobić... Po 7 latach ja znowu wyjdę i rząd moskiewski zwyciężę“!...

W tej legendzie wypowiedział się trzeźwy rozsądek ludu. Najpierw wolność, niepodległość narodowa, a później sztuka i literatura. Najpierw walka z Moskalem, a później, po zwycięstwie, odczytywanie „ksiąg tajemnych“! Nie wolno przedwcześnie zdradzać tajemnic. Trzeba być pokornym, bo „pan prostaczkom objawia, czego pysznym odmawia“. Chcąc zwyciężyć Moskala, trzeba zawrzeć ślub z królewną Litwy, t. j. ślubować tradycyi narodowej. Kto tej wierności nie ślubował, nie zrozumie „ksiąg tajnych“ Litwy — nie! Najpierw hejnał bojowy heroldów, a później hymn tryumfalny i dziękczynny kapłanów! Pieśń wojenna, bojowa — oto poezya odradzającej się Litwy. Królewna Litwy wciąż się śni „żołnierzom litewskim“. Nie trubadurów, lecz rycerzy chce mieć przy sobie! Najpierw rycerz, a później kapłan. Do boju, żołnierze Litwy z królewną na czele, do boju! Kapłan wyśpiewa hymn zwycięstwa... Kapłan odczyta „tajemne księgi“ Litwy po zwycięstwie...

Oto sens prawdziwej legendy, której należałoby poświęcić tom komentarzy.

„Miłośnicy Litwy“ stwierdzili tej legendy prawdziwość. Miast „zawrzeć ślub z królewną, wyjść w jasny dzień z rycerstwem i odebrać od Moskala całą Litwę“ (bynajmniej nie w dosłownem tych słów znaczeniu), z osobliwego rodzaju furyą rzucili się do odczytywania, do odcyfrowywania we śnie im „objawionych tajemnych ksiąg“ Litwy. O królewnie Litwy zapomnieli, niestety. I o ślubie także. Więc stało się nieszczęście. Chcieli opowiedzieć narodowi to, co wyczytali w „księgach tajemnych“, chcieli przedwcześnie zdradzić tajemnicę i oto wszyscy po kolei, ogarnieni grozą śmierci, rozbiegli się na cztery strony świata.

Pozostał jeden tylko Wicenty Kudyrka (1858—1899), którego bez przesady należy nazwać geniuszem odradzającej się Litwy. Lecz i on, niestety, uległ pokusie „ksiąg tajemnych“, choć długo, długo z tą pokusą walczył. I nie dziw: był artystą! Przeczytał jednę z najstraszniejszych ksiąg Litwy, chciał jej treść opowiedzieć narodowi i — padł trupem w kwiecie wieku. Zapomniał o królewnie Litwy... Czemu? Ażali nie widział jej przez „szklanne drzwi“, siedzącej na tronie w otoczeniu rycerstwa? Widział, lecz zwątpił w jej realność! Zanadto był po-

zytywistą, aby chciał wierzyć w realność mitów i legend. Wolał realność ksiąg. Chciał przedwcześnie zdradzić tych ksiąg tajemnicę nieprzygotowanemu do przyjęcia tajemnicy ludowi i — padł trupem. Zdołał wyśpiewać tylko potęgą prometejskiego bólu tchnące pożegnanie „M a n i e m s i e m s“ („Moim“):

„Jeigu žutu iš rankos priešo ar likimo
Viens tu, kur augin garbę, dvasią jus kilimo,
Rimkit — tegul jus širdis drąsums nealstoja
Tiktai, ką anas dare vyrs pasišventimo,
Tegul kits kartoja“!...
(Gdyby zginął z ręki wroga, albo losu
Jeden z tych, co tworzą chwałę narodu naszego,
Odwagi! Niech serca wasze nie tracą otuchy:
Do walki, którą zaczął ten mąż poświęcenia,
Niech zaraz drugi stanie!...)

Na to pożegnalne wezwanie, które jest jednym z najpiękniejszych kwiatów poezyi litewskiej, próbował godnie odpowiedzieć W a j c z a j t i s (1876—1901). Niestety, umarł w kwiecie młodości. Zdołał tylko wyśpiewać niepomiernie przykry żal do szlachty litewskiej i Polaków. Nie mógł się zdobyć na pieśń rycerską...

Najwybitniejszy przedstawiciel „Miłośników Litwy“, biskup A n t o n i B a r a n o w s k i, oparł się pokusie tego snu-zmory, pokusie królewny Litwy, niestety, kosztem wyrzeczenia się poezyi. Nikt tak pięknie, jak on, nie opłakał „dawnej“ Litwy, nikt tak potężnie, jak on, nie bolał nad losem „dzisiejszej“ Litwy (w genialnym poemacie „A n y k š č i u Š i l e l i s“), lecz równocześnie nikt tak przekornie, jak właśnie on, nie powstawał przeciwko duchowi „dawnej“ Litwy (w niewysłowienie przykrym poemacie „Rozmowa pieśniarza z Litwą“). Egzorcyzmując Litwę „dzisiejszą“ z d u c h a Litwy „dawnej“, stał się fanatykiem, niestety. Radząc: „nie pożądaj, Litwinie, zbyt wielkiej wolności“, zapomniał, że Litwin nie ma żadnej wolności, że żywot Litwina bojowaniem jest! Woła słusznie:

„Negriš seni amžiai, anei amžiu laime,
Neškels kaulai didžiavyriu iš seneliu kapo!
Kada grižo upe marios' nutekejus?
Kada grižo šmaikščion rykšten kelmas suretejęs?...
. . . .
Grudas gimdo grudą, diena gimdo dieną;
Amžiai kalas, tolyn traukia, atgalio negrižta“!...

(Nie wrócą stare wieki, ani wieków chwała,
Nie wstaną kości bohaterów z opłakanych mogił!

Kiedy wróciła rzeka, z morzem pojednana?
Kiedy pień odzyskał dębu moc i wielkość?...
. . . .
Ziarno rodzi ziarno, dzień zaś rodzi dzień;
Wieki płyną, w dal pędzą, nazad nie wracają!...)

Lecz radząc: „niech (Litwin) się modli, cierpi i nędzarzem umiera“ — sprzeniewierza się samemu sobie — duchowi poezyi, którego był najpotężniejszym wyrazicielem... Kosztem wyrzeczenia się poezyi, biskup Baranowski pokonał królewnę Litwy, która go wzywała do „walki w jasny dzień z Moskalem“. Apage satanas! — oto odpowiedź jego na wezwanie królewny... Na „księgi tajemne“ Litwy rzucił klątwę...

Lecz za to Majronisa oczarowała królewna Litwy, niestety, tylko urodą swoją. Liryczna jego poezya (zwłaszcza poemat „Przez cierpienia do chwały“, niefortunnie przerobiony w poemat „Młoda Litwa“) — to nieszczęśliwa miłość kapłana do Wajdelotki. Majronis jest zanadto zmysłowym, aby chciał być rycerzem królewny. Wolał i woli być jej trubadurem, albo spowiednikiem. Wolał romantycznie poromansować z królewną, niźli zadość uczynić jej wezwaniu. Niestety! królewna odepchnęła go... Majronis poszedł śladem biskupa Baranowskiego, wołając: Apage satanas! Ostatni jego poemat „Rasciniu Magde“ („Magda z Rosejń“) jest już tylko parodyą poezyi. Po prostu nie chce się wierzyć, że ten sam Majronis jest autorem arcydzieła lirycznej poezyi litewskiej (jak słusznie zaznacza Z. Kimunt-Czurlanisowa) p. t. „Wieczór nad jeziorem czterech kantonów“:

„Eżero skaisčios bangos liuliavo
Żaliu smaragdu,
Laivą be irklo vare, lingavo
Vesos dvelkimu.
Saule už Alpiu leidos sutingus;
Varpai Lucernos
Dievui aukavo darbus vargingus
Żmogaus ir gamtos“...

Jasne jeziora fale błyszczały
Szmaragdu zielenią,
Łódkę bez żagli kołysały
Ciszy tchnieniem.
Słońce za Alpy kryło się leniwe;
Dzwony Lucerny
Bogu składały czyny mierne
Człowieka i przyrody.

Wszakże Majronis wywarł bez porównania większy wpływ na najmłodszych pieśniarzy Litwy, niźli biskup Baranowski, który w opinii fanatyków szowinizmu uchodzi nawet za „polonizatora“ za to, że był gorącym zwolennikiem pojednania polsko-litewskiego. Mówią prawdę, ckliwie patryotyczna, wyraźnie antypolska poezya Majronisa wychowała najmłodsze pokolenie nacyonalistów litewskich, przeczulonych na punkcie „zagrożonej litew-

skości". W utworach epigonów Majronisa ckliwość patryotyczna przerodziła się w jakowąś manię jęczenia i narzekania na Polaków, jako jedynych sprawców niedoli litewskiej. Nadmierny sentymentalizm, wyrafinowanie okrutny w sądach, a zwłaszcza w czynie — oto duch poezyi Majronisa w przeciwieństwie do ducha poezyi biskupa Baranowskiego, którego cechuje zaprawdę Mickiewiczowska powaga myśli i uczucia — żądza czynu!...

W tem miejscu muszę stwierdzić, że Mickiewicz, którym — jako Litwinem — chlubią się najzagorzalsi szowiniści litewscy, nie wywarł prawie żadnego wpływu na rozwój literatury litewskiej (z wyjątkiem biskupa Baranowskiego, Kudyrki, a z najmłodszych — M. Gustajtisa, utalentowanego tłómacza „Sonetów krymskich"). Dlaczego? Chcąc dać wyczerpującą odpowiedź na to upokarzające dumę Litwina pytanie, trzebaby było napisać specyalne studyum, poświęcone analizie wpływów „ex oriente", pod których możnym urokiem kształtowały się „demokratyczne" pojęcia i „postępowe" wartości życia litewskiego... Trzebaby było poruszyć najdrażliwszą dla Litwinów kwestyę t. zw. „moskalofilizmu postępowego", z którego duchem idea twórcza Mickiewicza przenigdy pogodzić się nie da. Więc się ograniczam na skonstatowaniu tego bolesnego faktu.

Z imieniem Kudyrki ściśle się wiąże początek rozłamu w literaturze litewskiej na dwa nieprzejednane kierunki (chrześcijańsko-narodowy i postępowo-demokratyczny) — początek walki dwóch światopoglądów, która zwłaszcza w chwili obecnej przybrała formę zastraszającą. Nastąpił okres fatalnego rozdwojenia odrodzeniowo twórczej myśli litewsklej. O „władzę nad duszami" walczy duch biskupa Baranowskiego z duchem Kudyrki. Gwiazda Majronisa zbladła — gaśnie...

I gdzież trzeba szukać twórczej myśli pojednania? Na to pytanie daje odpowiedź największy pisarz współczesny — Vidunas...

* * *

Najmłodsza literatura litewska (z wyjątkiem Vidunasa, Jaunutisa-Vienuolisa, Kimont-Czurlanisowej, M. Gustajtisa) jest reakcyą przeciwko „mistycyzmowi" „Miłośników Litwy". Przyświeca jej ideał ciasnego utylitaryzmu - pozytywizmu, który jest karykaturą ideologii pozytywistycznej W. Kudyrki.

Najmłodszych pieśniarzy i literatów Litwy (z wyjątkiem paru)

już nie dręczy sen-zmora o królewnie litewskiej, zaklętej w katakumbach tradycyi narodowej. Propagują właśnie otrzeźwienie z tego snu. Są wyrafinowanie trzeźwi: boją się śnić! Wolą żyć już prześnionymi, przeżytymi, zrealizowanymi snami. Tak przecie wygodniej. Mniej pracy, mniej wysiłku kosztuje. Bierze się gotowy materyał i — przerabia się... I to się nazywa: twórczość „realistyczna“...

Królewna na 7 lat się ukryła głęboko w ziemi, ale już ze wstydu za tych najmłodszych „żołnierzy“, którzy nawet snu się boją...

Partyjne rozdwojenie odradzającego się ducha Litwy zgubnie wpływa na rozwój młodej literatury litewskiej, podporządkowanej ciasnym interesom i egoistycznym aspiracyom dwóch na zabój pokłóconych, o hegemonię się zmagających partyj: klerykalno-narodowej i postępowo-narodowej. Większości przedstawicieli najmłodszej literatury litewskiej chodzi nie o to, aby byli wyrazicielami najgłębiej w duszy narodu utajonych uczuć, myśli, dążeń, pragnień, a zwłaszcza ideowej potęgi Litwy, harmonijnie jednoczącej wszystkie stany, względnie klasy społeczne, — lecz o to, aby byli dobrymi agitatorami i obrońcami partyjnych haseł i doktryn, częstokroć wrogich duchowi kultury litewskiej. Agitacyjne doktrynerstwo zastąpiło w literaturze najmłodszych ideę czynu twórczego. Okadzać ideały partyjne, banalnie opiewać i kinematograficznie opisywać „dolę i niedolę“ życia partyjnego, brutalnie zohydzać i cynicznie ośmieszać przekonania przeciwnika, oraz szkodliwe dla wyznawcy danej partyi ideały, a nadewszystko jak najgłośniej naurągać Polakom „czyhającym na wolność i chwałę Litwy“, — oto hasła, którym hołduje większość przedstawicieli najmłodszej literatury litewskiej (zwłaszcza ze szkoły Jakštasa-Druskiusa-ks. Dąbrowskiego, a po części i ze szkoły Dra Basanowicza). Pojęcie narodu obniżono, przystosowano do pojęcia partyi. Narodowym pisarzem może być tylko pisarz partyjny, względnie „człowiek nieszkodliwy“. Poeta, literat, artysta, publicysta, nienależący do żadnej partyi, są postawieni w osobliwego rodzaju stan oblężenia. Zaprzysiężeni „krytycy“ partyjni nietylko odmawiają im uczuć patryotycznych, lecz jeszcze cynicznie pomawiają o dekadentyzm i sybarytyzm — o „baudelaireanizm“ i „poeizm“ (nie mając oczywiście żadnego pojęcia o tego rodzaju „izmach“). Nie rozumieją, że naród jest synonimem apoteozy ideowej jedności wszyst-

kich stanów, że w literaturze (a zwłaszcza w sztuce) społeczeństwo dochodzi do świadomości tej ideowej jedni ducha, że obowiązkiem każdego pisarza jest, tę świadomość bogacić, potęgować, gloryfikować, że literatura jest życiem tworzącem się — wyrazem, a nie fizyologią życia... Więc z czystem sumieniem podporządkowują ideologię sztuki i literatury narodowej ciasnym interesom dobra partyjnego. Agitator — oto ich ideał...

Broń Boże! Ani na chwilę nie zapominam o tem, że literatura litewska jest jeszcze in statu nascenti; nie ignoruję wyjątkowo ciężkich warunków, w jakich ta literatura musi się rozwijać; nie lekceważę dobrych chęci i szlachetnych aspiracyj takich najmłodszych talentów, jak L. Gira (autor pięknych piosenek i wierszy), Jovaras, M. Gustajtis, Vaitkus, Bilunas, Górawski, oraz starszych, jak Żemaite (prosta wieśniaczka, na której opowiadaniach, wiernie odtwarzających wiejskie życie. ludu, kształcili się najwybitniejsi pisarze litewscy), Šatrijos Ragana (autorka pięknej „Viktute"), Lazdynu Peleda (której powieść „Klaida" na tle ostatnich wypadków „rewolucyjnych" wywołała nawet sui generis awanturę), Bites (G. Pietkiewiczówna), Margalis i t. d. Nie ignoruję nawet tej ze wszech miar bolesnej prawdy, że „pieśniarze Litwy, gdyby łabędzie, dopiero w przededniu śmierci najpiękniej śpiewają pieśń pożegnania"...

Nie stawiam przedstawicielom piśmiennictwa litewskiego zbyt wygórowanych żądań, a tem bardziej nakazów i przepisów. Jeno tylko z osobliwego rodzaju wstydem wyznaję, że tłumaczem twórczej myśli większości utworów współczesnej literatury litewskiej być nie mam odwagi ze względu na tej właśnie myśli ubóstwo i niestety, banalność — że, jako krytyk, powołany do wyjaśniania ideologii literatury litewskiej — nie wiem, czy ganić, czy chwalić, czy pobłażliwie milczeć powinienem. Podając krótkie streszczenie utworów najmłodszych literatów Litwy (z wyjątkiem kilku), zrobiłbym naprawdę niedźwiedzią przysługę. Tem bardziej tłómacząc tych utworów wyjątki na język polski. Ubóstwo treści, zaczerpniętej nie z bujnego życia narodowego, nie ze źródeł ducha litewskiego, lecz z zamąconej kadzi partyjnej — oto kalectwo tych utworów.

Z. Kimunt-Czurlanisowa w cennej pracy krytycznej „Lietuvoje", poświęconej sprawie literatury narodowej, pierwsza miała odwagę zainicyować reakcyę przeciwko zgubnej dla rozwoju twórczej myśli litewskiej kurateli menerów partyjnych, którzy

zwłaszcza najmłodszą generacyę literatów dogłupili do poziomu ciasnych, awanturniczych interesów swoich. Słusznie żąda od każdego pisarza Litwy większego wysiłku woli twórczej, większego nakładu pracy artystycznej, większej prawości i rzetelności, głębszego zrozumienia idei narodowej. Słusznie się oburza na manię dorabiania się sławy jak najtańszym kosztem, na tandetyzowanie wartości twórczych — artystycznych. Apoteozowanie pospolitych, zużytych i nadużytych haseł partyjnych — czy to w formie kiepsko wierszowanej publicystyki (np. „Poezye“ Jakštasa), czy to w formie kiepsko tendencyjnych powieści i opowiadań, czy to w formie banalnych „studyów estetycznych“ (np. „studye krytyczne“ Druskiusa) — uważa za grafomanię sub auspiciis — pod wezwaniem partyi. Od wybitnych przedstawicieli odradzającej się (tak!) Litwy trzeba żądać potężnego wysiłku woli twórczej, wyrażającej najgłębszą, najwznioślejszą, najpiękniejszą (wolną zwłaszcza od taniego małpiarstwa) treść życia narodowego, aby nie komponowali hymnu narodowego Litwy na wzór (o hańbo!) „paradnego marsza Preobrażeńskiego pułku gwardyi“ (jak to udowodnił utalentowany kompozytor, Litwin, M. Čurlanis), aby nie karmili społeczeństwa, głodnego kultury, odpadkami obcych cywilizacyj (przeważnie rosyjskiej)... Albowiem lenistwo myśli i czucia jest największym wrogiem odradzającego się, wyzwalającego się narodu!

Agitator jest panem najmłodszej literatury litewskiej: oto nieszczęście. Aby mieć literacką „sławę“ na Litwie, dziś już trzeba koniecznie się wykazać talentem polonofobskim. Ideowe sympatye do Polski, wyrażone w dziele literackiem, przeznaczonem zwłaszcza dla ludu, wywołują straszliwą reakcyę ze strony menerów partyjnych (zwłaszcza klerykałów - szowinistów), którzy nie szczędzą biednemu „polonofilowi“ obelg, oszczerstw i częstokroć nikczemnych paszkwilów. Teroryzowani albo bojkotowani przez kliki partyjne, młodzi autorowie milkną, albo (o ironio!) zaczynają pisać swoje utwory po rosyjsku (Jasiukajtis, Smalkstys-Smolski) i po polsku (córki i synowie wybitnych działaczów litewskich)...

Co się tyczy dramatu, marzeniem większej części najmłodszych literatów litewskich jest — napisać farsę! Farsomania zupełnie otumaniła i tak już otumanione rozumy (zwłaszcza wpływami postępowego realizmu rosyjskiego) partyjnych „sław“ literackich, które nie chcą wiedzieć, że dla idyotycznego śmiechu

zbudowany teatr narodowy jest wstydem i hańbą odradzającej się Litwy. Z pisarzy dramatycznych na uwagę zasługuje tylko Šaulenišk i s, którego dramat „Sparnai“ (Skrzydła) — pomimo wyraźnego wpływu Ibsena — ma wartość literacką...

Naród litewski w najmłodszej iiteraturze swojej dochodzi do świadomości tylko niemocy swojej — dochodzi do obskurantyzmu ideowego. Honor tej literatury ratuje jeden tylko Vidunas...

Lekkomyślna likwidacya Unii siłą konieczności spowodowała likwidacyę historycznej kultury litewskiej. Najwybitniejsi przedstawiciele Młodej Litwy z przerażeniem spostrzegli, że odradzający się Litwin nie ma już żadnej kultury (w prawdziwem, nie zaś rosyjskiem tego słowa znaczeniu) — stoi „nagi na nagiej ziemi litewskiej“, zaledwie dziurawą, połataną siermięgą okryty... Zrozumieli, że ludowa forma kultury litewskiej (nie mówiąc już od „zapożyczonej“ od rosyjskiego „postępu“ formie) nie może rywalizować z narodową formą, zwłaszcza polskiej kultury, że gminny charakter atradycyjnie pańszczyźnianej ideologii młodolitewskiej nie może walczyć skutecznie z ideologią rycerstwa, zahartowaną — gdyby stal — w ogniu tradycyi. Zrozumieli to, lecz nie mieli odwagi walczyć z hegemonią nowoczesnej pańszczyzny.

Nie trzeba, nie wolno zapominać, że t. zw. Litwinom z historyczną polsko-litewską (nie zaś tylko polską) kulturą zwłaszcza piśmiennictwo litewskie najwięcej zawdzięcza. Najwybitniejsi pisarze Litwy (Strazdelis-Drozdowski, Daukša, Dowkont, biskup Wołonczewski, Dyonizy Poszka-Paszkiewicz, Jucewicz, bisk. Baranowski, Dr. Basanowicz, Dr. Kudyrka, Bilunas i in.) wszak byli Litwinami z polsko-litewską kulturą, nie mówiąc już o Litwinach z kulturą litewsko-niemiecką (Donelajtis, Kurszajtis, Vidunas i in.). Nie da się zaprzeczyć, że historyczna kultura Litwy jest wytworem historycznego współdziałania i współzawodnictwa szlachty litewskiej ze szlachtą polską, pomijając już wymianę wpływów t. zw. folklorycznych. Nagonka na Litwinów z historyczną polsko-litewską kulturą jest objawem fanatycznego zaślepienia i partyjnego zdziczenia. Przecież już sam fakt, że miejsca brutalnie wyrugowanych Litwinów z kulturą historyczną („polonofilów“) już zajmują Litwini z rosyjską kulturą (klerykalni i postępowi „moskalofile“ i „dyplomaci“ à la Szlupas), powinien

opamiętać zaślepionych „stróżów ducha narodowego Litwy“. — Niestety! Złośliwa przekorność (na złość Unii!) ujarzmia zdrowy rozsądek tych „stróżów“: robią miejsce dla „nowych“ Litwinów z rosyjską, niestety, kulturą, którzy już potrafią dobrze zlikwidować tę „przeklętą Unię“...

Zarozumiale przekorni młodolitwini, odrzuciwszy z pogardą „łachmany“ polskiej „kontuszowej“ kultury, wkrótce się przekonali, że już nie mają w co się ubrać. W chłopskich siermięgach nie chcieli paradować: wstydzili się. Więc nie chcąc być „nagimi“, musieli na gwałt pozbierać modną tandetę obcych cywilizacyj (nie kultur), przystosować ją do podejrzanego stylu litewskiego i ubrać się w tę dziwną pstrokaciznę na dowód, że przecież stworzyli „odrębną formę“ kultury... litewskiej... „Patrząc z oddalenia na to wszystko, co się u nas nazywa pracą i czynem, — są słowa utalentowanej Kimunt-Čurlanisowej — widzisz, zda się, scenę, na której gromada dzieci, ubranych w stroje dorosłych ludzi, usiłuje naśladować mowę, ruchy i czynności dojrzałych osób!“... Niezwykle trafne porównanie. Większość najmłodszych literatów młodolitewskich, dosiadłszy koni roboczych, usiłuje galopem dopędzić największych poetów europejskich, cwałujących na pegazach (o tych literatach, którzy odrabiają pańszczyznę ks. proboszczom i menerom partyjnym, nie wspominam). Nie mogąc dopędzić, urągają pegazowi kultury polskiej za to, że pegaza Litwy w konia roboczego przemienił. Nie wiedzą, że przecież sami robią wrażenie koni roboczych, zaprzężonych do soch partyjnych i biczem poganianych, że muszą zaorać ziemię, którą demagog partyjny zasiewa kąkolem nienawiści klasowo-partyjnej... Nie wiedzą, że powinni być „siewcami miłości twórczej“, a nie licytantami...

Oto są fatalne skutki niedorzecznej likwidacyi Unii (jako tradycyi). Zlikwidować potężną tradycyę historyczną i dziś karmić się odpadkami myśli europejskiej (pseudo-demokratycznej zwłaszcza), paradować w pstrokatej szacie, pozszywanej z tandetnych odpadków antypolskich cywilizacyj — oto los młodolitwina, pokłóconego z sumieniem dziejów bohaterskiej i rycerskiej Litwy...

* * *

Reakcyę przeciwko pańszczyźnianemu duchowi literatury i sztuki litewskiej, a równocześnie rozpaczliwem poszukiwaniem legendowej królewny-Wajdelotki w labiryntowych katakumbach Litwy jest twórczość Jaunutisa-Vienuolisa (Ja-

wnuty Samotnika). W rozpaczliwie smutnych i bolesnych utworach „Tantos širdis“ (serce narodu) i „Lietuvos Sfinksas“ (sfinks Litwy) wyznał swą tragedyę samotnika, skazanego na mękę zgadywania zagadek „litewskiego Sfinksa“, na mękę poszukiwania źródeł „serca Litwy“ w ruinach i puszczach, na mękę pragnienia „wody ze źródła miłości“, na rozpacz tułaczki i grozę tęsknoty mistycznej... „Symfonią dramatyczną“ p. t. „Hymn ruin litewskich“, obrazowo symbolizującą tragedyę Litwy pogańskiej, której urąga tragikomiczna kakofonia Litwy współczesnej, wywołał prawdziwy skandal literacki — i to jedynie z powodu niezrozumienia jego intencyi artystycznej. Jaunutis ośmielił się powiedzieć głośno, że najmłodsza pieśń Litwy, gloryfikująca agitatorów (np. „Jaunoji Lietuva“ Majronisa) jest „siódmem echem“ serdecznego śmiechu Wajdeloty, rozbawionego wybrykami faunów litewskich; że najmłodsza bezdusznie jałowa, dziecinnie pretensyonalna, arogancko antypolska literatura litewska jest grzybem, rosnącym w ruinach Litwy pogańskiej. Nie ksiądz-agitator, lecz kapłan-król (Kryvis), nie partyjny sekciarz, lecz rycerz-wódz, nie postępowa dewotka, lecz kapłanka-Wajdelotka — powinni prowadzić Litwę do chwały i zwycięstwa. Chcąc zwyciężyć „Ducha ruin“ Litwy pogańskiej, trzeba go umiłować; bo tylko miłość wyzwala, zwycięża, zgaduje. Chcąc się wtajemniczyć w potęgę prastarej Litwy, trzeba się upokorzyć przed prawdą historyi! Precz z pychą i zarozumiałością karłów, którzy palcem, umoczonym w czerwonym atramencie, przekreślają najpiękniejsze karty rycerskiej kultury Litwy! Precz z agitatorami ateizmu, którzy na czole Smutkelisa, czuwającego na rozstajnych drogach Litwy, piszą złowieszczo ironiczne Mane-tekel-fares! „Duch ruin“ litewskich dopóty będzie groził Litwie współczesnej zemstą (wołając: „w trzy dni zburzę cię i czwartego o świcie zbuduję cię na nowo, Litwo!“), dopóki Litwa nie zrodzi pieśniarza, którego hymn będzie mistycznem pojednaniem ducha niewoli z duchem wolności, ducha ruin z duchem świątyni!...

Prawdopodobnie taką intencyą kierował się Jaunutis, pisząc swój dziwny „dramat“, melodyjnością i rytmiką słowa odtwarzający symfoniczną muzykę.

„Hymn ruin litewskich“ bynajmniej nie jest arcydziełem. Jest raczej ruiną arcydzieła, co, być może, leżało w intencyi autora dla wywołania większego wrażenia ruin. Jest nieudolną próbą

syntezy narodowego ducha Litwy, próbą uświadomienia idei narodowej, zaklętej w atmosferze ruin...

Podaję krótkie streszczenie, zaznaczając, że w polskiem tłómaczeniu niepodobna mi odtworzyć muzykalności i rytmiczności wiersza.

Część I. Ruiny zamku trockiego. Noc księżycowa. Łódkę, w której śpi pieśniarz, kołyszą białe (z prawej) i czarne (z lewej strony) duchy. Białe śpiewają walczyk. Czarne — marsz pogrzebowy. Melodya walca walczy z melodyą marsza pogrzebowego. Bije północ dzwon zatopiony. Czarni zwyciężają.

1. Walczyk:

Eżero skausmo bangeles
bangnoja, maudżia, vaitoja! (chór p.)
Menulio dżiaugsmo balselis
liuliuoja, draudżia, kvatoja:
cha—cha—cha! (trzykr.)

Bangeles nerimsta —
baudżia!
Vejelis vis kilsta
gaudżia!

Eżerelis vaitoja —
Menużelis kvatoja:
cha—cha—cha! (trzykr.)

Cierpień jeziora fale
falują, jęczą, się skarżą!
Księżyca blady uśmiech
flirtuje, igra, się śmieje:
cha—cha—cha!

Fale się trwożą —
skarżą!
Wiaterek wciąż rośnie —
jęczy!

Jeziorko lamentuje —
Księżyc się śmieje —
cha—cha—cha!

2. Marsz pogrzebowy:

(imitacya bebnów) — Oj, tu Dieve!
— Tu kraugeri!
— Visagalis!
— Piktavalis!
— Susimilk!
— Prażuk!
— Prabilk!
— Nebuk!
— Gaivyk!
— Išnyk!
(chór) — Vidur nakties
ant prapulties
Vejai kaukia, staugia —
(contra) — Dievas velę smaugia —
miškas użia, gaudżia —
(contra) — Żmogus Dievią draudżia:
Ak, tu Dieve iškilmingas!
(contra) — Tu żmogżudi beprotingas!
Priglausk verkiančilą, veielę!
(contra) — Išgerk savżndżiu kraujeli!
(i t. d.)

— Ach, Ty Boże!
— Ty krwiożerco!
— Wszechmogący!
— Zło czyniący!
— Zmiłuj się!
— Zgiń!
— Przemów!
— Zczeźnij!
— Zbaw!
— Zgiń!
O północy
na zatracenie
wicher jęczy, wyje —
— P. Bóg duszę dławi —
Lasy szumią skargą —
— Człowiek Bogu bluźni:
Ach, Ty Boże miłosierny!
— Ty zabójco nierozumny!
Przytul płaczącą duszyczkę!
— Wypij samobójców krew!...

Na szczycie na wpół rozwalonej baszty ukazuje się Herold w postaci czerwonego cienia; zwrócony twarzą do wschodu trzykrotnie dmie w róg i woła potężnym głosem:

Praamžio Kalvi —
Perkune!
Musu gyvatos —
Valdune!
Pažvelk iš tamsybes
gamtos paslapties
Ant tos nedorybes
dvasios prapulties!
Galingos rustybes
žaibu suspindek!
Teisingos valdybes
žodžiu prakalbek!
Padegos gaisru žiebk!
Kuji in ranką griebk!
Kuju kalk!
Laisves alk!
Sudegink puvesiu
kirminus!
Iškalk iš griuvesiu,
milžinus!
(i t. d.)

Odwiecznego kowalu —
Perkunasie!
Naszego żywota —
władco!
Spojrzyj z otchłani
tajemnic natury
Na te okrucieństwa
Ducha zatracenia!
Błyskawicą gniewu
potężnie świeć!
Słowem — piorunem
do nas mów!
Łuną pożogi świeć!
Młot do ręki chwyć!
Młotem wal!
Wolność kuj!
Wytęp zgnilizny
robactwo!
Wykowaj z ruin
wielkoludów!

Kiedy wygłasza ostatnie słowo wezwania, raz w raz trzy błyskawice przelatują nad jego głową. Daje się słyszeć echo dalekiego, dalekiego grzmotu. Równocześnie słychać echo hymnu (na nutę „Święty Boże"): to echo modlitwy ludu litewskiego, który odpowiada na wezwanie. Herold znowu dmie w róg i budzi umarłych do boju. Uderzenie pioruna. Przejście do II części.

Część II. Wajdelotka ukazuje się na drugiej na wpół rozwalonej baszcie. Wygłasza bolesną skargę. Nie rozumie, kto i po co ją zbudził ze snu. Nie wie, gdzie jej ojczyzna. Wszyscy ją opuścili, wyklęli. Na jej skargi odpowiada lud echem dalekiego chóru. Skarga Wajdelotki przy akompaniamencie choralnej (echowej) skargi ludu. Rozpacz. Litwa wzywa Wajdelotkę, a ona nie wie, gdzie jest Litwa. „Ciemno, nie widzę!" woła rozpaczliwie. Odzywa się głos (echo) małej dzieciny, która prosi, aby się przemieniła w gołębicę i przyleciała pod strzechę sieroty. Równocześnie słychać krakanie wron. Wajdelotka przemienia się w gołębicę i leci do Litwy — na żer krukom...

Na trzeciej baszcie ukazuje się Rycerz, cały w ogniu.

Rzuca straszliwą klątwę na Litwę, która się zaprzedała w niewolę „nowemu Bogu", przemienia się w orła i leci na żer...

Wreszcie ukazuje się Arcykapłan (Kryvis). Śpiewa hymn przebłagalny. Wtóruje mu chór ludu litewskiego. Modlitwa Arcykapłana łączy się z modlitwą ludu (echo).

Motyw przewodni „Hymnu Arcykapłana":

Praamżi visgalingas,	Odwieczny — Władco,
Perkune teisdaringas,	Perkunasie — Sędzio,
Patrimpe użtaringas -	Patrimpasie — Pośredniku —
amżinoj Trejybeje	wiekuistej Trójcy —
amżinos šviesybes	wiekuistej światłości
viena saule —	jedno słońce —
Tavęs meldżiame —	Ciebie błagamy —
(chór-echo) susimilk ant musu, Vieš- [patie!	Zmiłuj się nad nami, Panie!

Przy akompaniamencie gęśli Arcykapłan wznosi się w górę i ginie w wyżynach. Apoteoza.

Część III. I znowu czarne duchy rozpoczynają walkę z białymi o duszę śpiącego pieśniarza. I znowu marsz pogrzebowy zwycięża. Poczyna świtać. Echo dalekich dzwonów. Duchy znikają. Pieśniarz budzi się ze snu. Budzi się opętany przez czarnych duchów. Wpada w rozpacz. Śpiewa pieśń pożegnania i topi się w jeziorze. A w dali konają ostatnie akordy smutnego walczyka i zwycięzkiego marsza pogrzebowego. Słońce spojrzało na jezioro i schowało się za jasne chmurki. Finale: dzwony poranne.

* * *

Jak już wspomniałem, honor najmłodszej literatury litewskiej ratuje Vidunas (pochodzący z Litwy pruskiej), który zwłaszcza dla sprawy odrodzenia zgermanizowanej Litwy pruskiej poniósł wiele trudu i poświęcenia...

W utworach Vidunasa naród litewski dochodzi do świadomości swej moralnej potęgi, swego wewnętrznego, utajonego piękna i harmonii. Cała jego filozofia streszcza się w tych krótkich słowach: moralna wielkość, potęga jednostki i społeczeństwa — oto chwała — zwycięstwo narodu; tworzenie tej moralnej wielkości jest zadaniem, obowiązkiem Litwina; cywilizacya, zbudowana na materyalnych podstawach, przemija, ginie z czasem; nie ginie tylko moralna kultura człowieka i narodu, nie ginie słonecznie jasna i harmonijna świadomość tej kultury moralnej...

Treść większości utworów *Vidunasa* jest teozoficzna. Na uwagę zasługują również jego komedye, niemiłosiernie chłoszczące nałogi i manie zprusaczonych Litwinów.

Vidunas jest więcej myślicielem, niżli artystą. Jest mistykiem-intellektualistą. Posiada intuicyę — jasnowidzenie *myśli*. Nie sercem, lecz myślą zgaduje. Dlatego też odstrasza romantyków nie tyle chłodem, ile pedantyczną powagą myśli — pedagogicznością. Najnowsze dzieło jego „*Musu uždavinys*“ (Nasze zadanie) — to genialny podręcznik do nauki „o człowieku i narodzie“. Chcąc streścić to arcydzieło literatury litewskiej, musiałbym poświęcić specyalny artykuł.

Najpotężniejszy artystyczny utwór *Vidunasa*, misteryum (Aidija) „*Prabočiu Šešeliai*“ (Cienie praojców), mógłby być chlubą nawet polskiej literatury. Takie dzieło mógł napisać tylko „mistyk z Bożej łaski“ — jasnowidz. Zwłaszcza styl *Vidunasa* jest sui generis objawieniem prostoty. *Karol Irzykowski*, nieprzejednany wróg pałubizmu artystycznego, mógłby zazdrościć *Vidunasowi* właśnie niezwykłego daru *prostoty*, opromienionej tak jasną świadomością idei twórczej, o jakiej *Miciński* np. nie śnic nawet marzyć...

Misteryum „*Cienie praojców*“ składa się z trzech części: pierwsza opiewa „zmierzch bogów“ Litwy, druga — tragedyę pańszczyzny, trzecia — odrodzenie i oczyszczenie ducha narodowego w „ogniu świętym“.

Całość symbolizuje *proces wtajemniczania się* odradzającego się geniusza Litwy (*Tautvida*) w prawdę tragicznej przeszłości, w ból smutnej rzeczywistości, w tryumfalny hymn zwycięskiej przyszłości.

Saule musu,
Tu prabočiu siela,
Kaip amžiu juros Tu gyva!
Taip valdo, veikia
Nemirštama meile,
Taip žeri išmintics liepsna!
Ji pildo širdi!
Jos klausome balso!
Nušvinta Lietuva visa!
(i t. d.)

O, Słońce nasze,
Ty praojców duchu,
Jak morze wieczności Tyś żywy!
Tak rządzi, tworzy
Nieśmiertelna miłość,
Tak świeci mądrości płomień!
Napełnia serce!
Jej słuchamy głosu!
Promienieje Litwa cała!...

Tym potężnym hymnem, którego słowa są przystosowane do hymnu *Beethovena* z IX symfonii, kończy się misteryum...

Zwycięża to, co z *życia wiecznego* bierze początek. „Tylko ten naród nie ginie, lecz rośnie i kwitnie, w którym choćby tylko jeden człowiek stanął na szczycie *pełnego człowieczeństwa*"... Taki człowiek może umrzeć, lecz „światło jego osobowości świecić będzie wiecznie narodowi"...

Vidunas uczy najmłodsze pokolenie Litwy, że bez wtajemniczenia (na które trzeba zasłużyć czystością charakteru) niema prawdziwej literatury i sztuki. Wtajemniczyć się — znaczy myślą przeboleć martyrologię dziejów Litwy i zajaśnieć świadomością, wyzwoloną z mgławic „pokutnicy — przeszłości". Z mgławic przeszłości wyłaniać gwiazdy i słońca — „z życia tworzyć życie" — oto prawdziwa twórczość. W katakumbach Litwy płonie ogień święty; wejdź, pieśniarzu, do tych katakumb i od tego ognia zapal pochodnię czynu twórczego! W zagrzebanej świątyni, na ołtarzu ofiarnym, leży tajemnicza księga Litwy; wejdź, kapłanie do tej świątyni i miej odwagę przeczytać i zrozumieć dzieje twego własnego ducha! W kryptach podziemnych świątyni narodowej są trumny otwarte, w których leżą żywi, klątwy powrozami spętani Rycerze Litwy; wstąp, bojowniku teraźniejszości, który głosisz miłość i pojednanie, do tej krypty — wstąp i chciej zrozumieć, że tyś przynajmniej przez jedną noc w tej trumnie winien leżeć, aby Rycerz Litwy był wolny *o świcie*!...

Vidunas jest wschodzącem słońcem *idei narodowej* Litwy. Jest Wajdelotą literatury litewskiej. Jest jedyną nadzieją radosnego jutra dla tych biednych skowronków Litwy, które śpiewają smutną pieśń rezygnacyi (wiersz *Wienożyńskiego*):

„Jau žvaigžde vilties žibet nustojo,
Viskas ant svieto man juoda!
Ar kas grožybes po koju kloja,
Ar karčią tulži gert duoda —
Man vis tiek pat, man vis tiek pat!"...

(Już gwiazda nadziei świecić przestała,
Wszystko jest czarne na świecie!
Czy kto lilije pod nogi rzuca,
Czy gorzką żółcią napawa duszę —
Mnie wszystko jedno, mnie wszystko jedno!...)

J. A. Herbaczewski.

W POLSCE O MADIARACH.

Z początkiem drugiej połowy marca dowiedziałem się z dzienników zakordonowych, jakoby pomiędzy *Światem Słowiańskim* a lwowskim dwutygodnikiem *Rzeczpospolitą* odbyła się o stosunki polsko-madiarskie polemika „namiętna“, „gwałtowna“, „pełna insynuacyj osobistych“ itp. Wiadomość jest fałszywa. Do polemiki trzeba dwóch stron; o ile chodzi o *Świat Słowiański*, niczego takiego nie było i — nie będzie.

Pójdziemy na głębszą wodę.

Czy w polityce są dogmaty i wartości stałe?

Polityka jest sztuką osiągnięcia pewnego celu wśród pewnych okoliczności — a więc do okoliczności stosować się musi [1]). Nie może tedy być w niej dogmatów, a więc ani przyjaźń polsko-madiarska nie jest wartością stałą, lecz zależną od okoliczności. Jest takiem samem narzędziem politycznem, jak każde inne. Wolno — a raczej trzeba i należy — robić z niej przedmiot badań.

Nie badając spraw węgierskich, popadliśmy w naszej polityce w Austryi w jakąś cislitawską jednostronność. Nie dostrzega się u nas faktu, że rozwiązania wielu zagadnień poszukiwać trzeba właśnie w Translitawii, a zwłaszcza, że stamtąd może (a raczej musi) nadejść „polityczna slawizacya“ Austryi.

Na układ stosunków politycznych w Austryi wpływać będą coraz bardziej Słowianie, którzy — samą siłą rzeczy — dochodzą do znaczenia i wpływów. Z tej słowiańskiej pstrokacizny politycznej może się na jedno skinienie dynastyi sformować obóz karny, na którym możnaby polegać z całem bezpieczeństwem. Nagłe, a bardzo stanowcze zmiany, są typową cechą polityki austryackiej. Zapewne długo przygotowuje się to, co na zewnątrz wydaje się potem nagłem i daje się we znaki tym, których zastaje nieprzygotowanymi.

W razie jakiegokolwiek przesunięcia austryackiego punktu ciężkości ku Słowiańszczyźnie (co na Węgrzech nastąpić musi), my, Polacy, powinnibyśmy stanąć tem bardziej na pierwszym planie, mając do tego wszelkie warunki. Ale same „warunki“ nie stanowią o wyniku, bo nawet najświetniejsze mogą być — zmar-

[1]) Wartości stałe istnieją, ale głębiej od polityki właściwej: w etyce życia publicznego i w prawidłach ewolucyi historycznej.

nowane. Ja zaś pozwalam sobie twierdzić, że gdyby taka „slawizacya“ polityczna nastąpiła teraz, zastałaby nas nieprzygotowanych. Byłaby czemś narzuconem nam bez naszego udziału. Mając zaś do czynienia ze stanem rzeczy z poza naszego horyzontu politycznego, nietylko nie utrzymalibyśmy się na zajmowanem w Austryi stanowisku, ale zeszlibyśmy na sam szary koniec, i to aż do tego stopnia, że o sprawach polskich decydowaliby Rusini. Na ślady zamiaru utworzenia istnej ligi antypolskiej — pod protektoratem bardzo wysokim — natrafiało się już kilka razy w ostatnich latach. Prace te są ciągle w toku — a my jesteśmy wobec nich bezbronni, nie umiejąc poruszać się w nieznanym sobie żywiole (słowiańskim), stanowiącym obecnie jakby rezerwę zapasową dla tych sfer, którym do zamienienia czegoś w czyn może nieraz wystarczyć sama tylko... wola.

Obecnie sprawy stoją tak, że w ewentualnych kombinacyach austryacko-słowiańskich uważa się Polaków za pozostających poza nawiasem. Ignoruje się nas; prosty odwet za to, żeśmy ich ignorowali. Przekonanie, że Polacy są poza tem wszystkiem, co dotyczy Słowiańszczyzny, jest zresztą tak głęboko zakorzenione, iż sfery decydujące, sondując opinię, szukając rady i zdania w kombinacyach austryacko-słowiańskich, zwracają się do Czecha, Słowieńca, Słowaka — lecz nigdy do Polaka.

Możemy się znaleść w Austryi w położeniu, że będą radzić o nas bez nas.

Rozstrzygać o tem, jak się zachować wobec danej sprawy, mogą tylko tacy, którzy się na niej znają. Jeżeli nie nagromadzimy w Polsce zawczasu jak najwięcej *znawstwa spraw słowiańskich*, możemy się w danym razie nietylko znaleść w położeniu upokarzającem, lecz ponieść dotkliwe straty na całej linii.

Nie można badać spraw słowiańskich, nie tykając węgierskich, a wśród węgierskich nie można pominąć madiarskich, i to nietylko dlatego, że Madiarzy panują nad innymi narodami węgierskimi, ale i z innych jeszcze powodów, które dla interesów polskich mogą w danej chwili stać się bardzo doniosłemi:

Dualizm jest formą kompromisową stosunków austryacko-niemieckich, narzuconą domowi Habsburskiemu skutkiem przegranej 1866 roku. Pomiędzy Berlinem a Budzyniem istnieje węzeł zacieśniony koniecznością polityczną, węzeł nierozerwalny. Budzyń,

to filia Berlina, pilnująca Wiednia. Niema tu nic do rzeczy, czy uczucia madiarskie są germanofilskie, lub antygermańskie! Kto się interesuje bliżej uczuciami, niechże sobie to robi w spokoju, ale i polityce niechaj da spokój. Ja stwierdzam po prostu fakty wytworzone przez okoliczności lat 1866 i 1871, a trwające dotychczas — bez względu na czyjekolwiek uczucia. Być może, że prawdziwy „magyarember" radby utopić Niemca w łyżce wody, ale on tego nie zrobi, bo wie, że niepodległość jego państwa podtrzymywana jest w Berlinie gorliwiej, niż w Wiedniu.

Państwo niepodległe chce się rozwijać, mieć ekspanzyę, działać na coraz szerszej arenie. Tego też chcą Madiarzy, a nadto chcą jeszcze jednej rzeczy: madiaryzować wszystko, co po drodze napotkają. Do jakiego stopnia ekspanzyjne te i madiaryzacyjne dążności dadzą się pogodzić z interesem dynastyi — oto niegłośny, przycichany obustronnie, lecz najgłębszy problem polityki austryackiej.

Dynastya nie może dopuścić, żeby Węgry stały się zbyt silnemi, bo w takim razie mogłyby próbować obejść się bez tych sił, które dynastya wnosi skądinąd. Wspólność interesów istnieje tu tylko do pewnego stopnia i czem bardziej Węgry się rozwijają, tem szybciej zbliża się punkt, na którym ta wspólność się kończy. Stanąć na czele idei madiarskiej i oddać się jej zupełnie dynastya nie może, bo musiałaby się wyrzec wielu innych widoków, a nawet po prostu przygotowywać likwidacyę Austryi.

Jest sposób przedłużenia zgodności interesów, o których teraz mówimy, a mianowicie zamiana idei madiarskiej na węgierską, tj. zaprowadzenie równouprawnienia narodowego na Węgrzech. Wtenczas ekspanzya państwa węgierskiego nie naruszałaby interesów kilku narodów, a nawet leżałaby do pewnego stopnia w ich interesie. Dynastya mogłaby takiemu państwu węgierskiemu pomagać bez porównania na dalszą metę, niż państwu ekskluzywnie madiarskiemu i madiaryzującemu. Toteż Wiedeń pragnie Węgry przemienić w tym kierunku. Chciano im narzucić głosowanie powszechne (choćby przemocą), jako pierwszy szczebel tej przemiany. Nie udało się — bo zaszły okoliczności zewnętrzne, nie pozwalające planu tego wykonać. Kiedy trafi się znów chwila sposobna do ponowienia tej próby, nie można wiedzieć. To pewna, że narzucenie Madiarom równouprawnienia innych narodów węgierskich byłoby początkiem emancypacyi

Wiednia od przeważnych wpływów berlińskich. Toteż kwestya ta łączy się przez to z całą konstellacyą polityczną europejską i dalsze rozważanie jej zaprowadziłoby nas za daleko.

Chciałem tylko zwrócić uwagę, że interes dynastyczny wymaga „slawizacyi“ państwowości węgierskiej. Przypomnieć też pozwolę sobie, że w ostatnich latach była chwila, iż po jednej i drugiej stronie Litawy roztrząsano problem wojny „domowej“ austryacko-węgierskiej, a zajmowały się tem osoby bardzo poważne i wpływowe. Przycichło to, z powodów prawdziwie niezależnych od czynników interesowanych.

Że były w Wiedniu kombinacye antymadiarskie, wiadomo. Kiedy się powtórzą, będzie zależało od okoliczności. Jeżeli Wiedeń będzie miał wolne ręce, narzuci głosowanie powszechne; a gdyby to wymagało siły, może przy tem nietylko przepaść madiaryzacyjny system, ale i skruszyć się sam dualizm. Wszak niema on, prócz Madiarów, w całej Austryi i w całych Węgrzech ani jednego zwolennika! Gdyby zaszły okoliczności, że Berlin nie mógłby decydować o sprawach austro-węgierskich, sami Madiarzy dualizmu obronić nie zdołają.

Jakie ma być nasze stanowisko wobec tych spraw? Czy huknąć „Wiedniowi“ nad uchem: „Węgier - Polak dwa bratanki“? Zdaje mi się, że już tam o tem „bratankostwie“ są poinformowani należycie przez rozmaite wpływy nam... nieżyczliwe.

Zapewnienia prasy polskiej o „niewygasłych tradycyach 1848 roku“, jakżeż mają być tam rozumiane? Mamy aż nazbyt wielu nieprzyjaciół, którzy frazes ten, powtarzany bezmyślnie, zaopatrzą złośliwą i szyderczą interpretacyą.

Zbliżamy się do niebezpieczeństwa, że polityka polska może być przedstawiana, jako przeciwna na przyszłość interesom austryackim. Zamierzona, wielu tak pożądana, liga antypolska ma więc znaczne szanse. Zbliża się dla nas „szary koniec“, i możemy się istotnie doczekać, iż o sprawach polskich będą decydować Rusini, jako ustawieni na bliższym planie kombinacyj „slawizacyjnych“. Kraj tak duży, jak Galicya, nie może bowiem być pominięty w żadnych kombinacyach. Ale kraj ten zamieszkują dwa narody...

Gdybyż przynajmniej był w Polsce całej choć jeden człowiek, któryby mniemał, że należy nam iść z Madiarami przeciw dynastyi, w danym razie aż do wznowienia „tradycyi 1848 roku“,

w takim razie byłaby przynajmniej konsekwencya. Ale coś takiego nikomu u nas nawet się nie przyśni!

A skoro niema amatorów na madiarsko-polskie sojusze przeciw Habsburgom, cała zatem madiarofilska gra jest wśród nas tylko nieostrożną zabawą w czcze frazesy, pozbawione wszelkiej treści. Nasi madiarofile nie ruszyliby palcem w obronie Madiarów przeciw Austryi.

W r. 1848 walczyło się o konstytucyę. Teraz nie myśli nikt o zniesieniu systemu reprezentacyjnego, stare więc hasło nie znajduje zastosowania, przestało być momentem politycznym. Ten okres dziejów zamknięty. Nowe czasy wymagają nowej oryentacyi politycznej. Powołując się około r. 1910 na wskazania polityczne z r. 1848, okazujemy tylko niemoc swoją, jako epigonowie okresu minionego, opóźnieni, zacofani. Nie mając programu zastosowanego do dzisiejszych okoliczności, zapełnia się próżnię szychem frazesu.

Kto chce głosić program na dzisiaj, musi mieć argumenta z dzisiejszych okoliczności.

Dzisiaj zachodzi coraz wyraźniejsza rozbieżność pomiędzy kierunkami polityki madiarskiej a habsburskiej. My jesteśmy i będziemy w obozie habsburskim. Skoro tak, należy unikać wszystkiego, co mogłoby być tłumaczonem opacznie.

Nie należy też Madiarów łudzić, żeby nam potem nie zarzucali zdrady.

Nam chodzi o rozluźnienie związku zbyt ścisłego pomiędzy Wiedniem a Berlinem; po prostu o wyzwolenie Wiednia z pod berlińskiej hegemonii. Dzisiaj wykładnikiem tej hegemonii jest państwowość węgierska, madiaryzacyjna. Nasze więc interesy polityczne są obecnie zupełnie sprzeczne z interesami madiaryzacyjnej ekspanzyi, a zgodne z polityką dynastyczną Habsburgów i z dążeniami innych narodów węgierskich. Dla osłabienia wpływów pruskich musimy pragnąć, żeby na Węgrzech skończył się system madiaryzacyjny, żeby nastąpiła slawizacya tego państwa (co oddziałać musi następnie na Cislitawię). Nikt nie może wiedzieć, czy Madiarzy przystaną kiedykolwiek na równouprawnienie narodów węgierskich. Można pragnąć gorąco, żeby się kwestya ta załatwiła pokojowo, bez szwanku dla państwa węgierskiego; gdyby to jednak okazało się niemożliwe, polityka polska musiałaby pójść wraz z dynastyczną dalej i wystąpić

przeciw dualizmowi. Chcąc nie chcąc, znaleźlibyśmy się w położeniu przymusowem: musielibyśmy.

Komu zależy na tem, żeby państwo węgierskie uniknęło katastrofy i żeby naród madiarski nie utracił swego stanowiska politycznego — niechaj obmyśla sposoby, jakby Madiarów pogodzić ze Słowianami. Jestto jedyna dziedzina, w której można madiarofilstwo uprawiać praktycznie, a nie samym frazesem.

Oto są dzisiejsze okoliczności polityczne, na których musi się opierać pewna część polskiego programu politycznego.

Te sprawy i względy powodują *Światem Słowiańskim*, a nie żadna doktryna. Pismo nasze nie jest zresztą przeglądem spraw polskich ze stanowiska słowiańskiego, lecz słowiańskich z polskiego.

Wypada mi dotknąć jeszcze jednej rzeczy:

Zdarza się tu i ówdzie czytać argumentacyę, że winniśmy dbać o przyjaźń Madiarów, bo mają wojsko, a więc chodzi o to, żeby armia ta pomaszerowała w danym razie w korzystnym dla nas kierunku...

Ależ niema wojska madiarskiego [1]), jest tylko węgierskie obok austro-węgierskiego. Jedno i drugie ma tego samego najwyższego wodza; pójdzie tam, gdzie on każe, jak tego będzie wymagał interes dynastyczny. [2])

Na tle takich-to okoliczności należy rozmyślać w Polsce o Madiarach.

* * *

Rzeczpospolita [3]) dopuściła się w polemice ze *Światem Słowiańskim* pewnego rodzaju błędu metodycznego.

Obrawszy sobie za punkt zaczepienia artykuł nieredakcyjny z maja zeszłego roku („Bankructwo madiaryzmu“), nie polemizuje z autorem artykułu, lecz z redakcyą. Pomija jednak milczeniem artykuły redakcyjne [4]) w tejże sprawie.

---

[1]) Podobnie, jak w Cislitawii niema niemieckiego, tylko austryackie.

[2]) por. artykuł mój z grudnia 1909: „Słowo o prognozie politycznej (z powodu przewidywań wojny austryacko-rosyjskiej)“.

[3]) Nr. 49 z 4-go marca, artykuł wstępny p. t. „W Polsce o Węgrach“. Za artykułem tym kilka pism zakordonowych snuło sobie dalsze „waryacye“ na ten temat metodą dedukcyjną, z licencyami.

[4]) Za artykuły redakcyjne uważa się te, które są niepodpisane. Nadto odpowiada oczywiście redaktor osobiście za artykuły podpisane swem na-

Według przyjętych powszechnie zasad, redakcya nie odpowiada za szczegóły artykułów swych współpracowników, tylko za ogólną ich linię wytyczną; o tyle więc tylko godzi się kłaść odpowiedzialność na redakcyę *Świata Słowiańskiego* za artykuł, którego tytuł nie głosił bankructwa ani Węgier, ani narodu madiarskiego, tylko „madiaryzmu“, t. j. systemu madiaryzacyjnego. Skoro *Rzeczpospolita* nie polemizowała z artykułami redakcyjnemi (a jeszcze w styczniu b. r. były w tej sprawie dwa), nie należało czytelników swych wprowadzać w błąd co do tej okoliczności.

Na podstawie artykułu *Rzeczypospolitej* gotowaby powstać legenda, jakoby „dzięki ożywieniu się w ostatnich latach stosunków polsko-węgierskich“ Madiarzy decydowali się uznać prawa ludności polskiej (czego wskazówką „listy z Krakowa“ w *Budapesti Hirlapie*), gdy w tem *Świat Słowiański*, nie chcąc dopuścić do przyjaźni polsko-madiarskiej, jął napadać na nich „pod pozorem obrony ludności polskiej“ i t. d.

W rzeczywistości było to inaczej. N a j p i e r w pojawił się artykuł „Bankructwo madiaryzmu“ (1-go maja 1910), a dopiero w kilka tygodni p o t e m „pewien Węgier, przebywający widocznie przez czas dłuższy u nas i poważnie zaznamiający się z naszem życiem“, ogłosił w *Budapesti Hirlapie* (od 19 czerwca do 3 lipca 1910 r.) artykuły, w których domaga się urzędowego uznania ludności polskiej na Górnych Węgrzech. Albowiem geneza tych „listów z Krakowa“ (które rzeczywiście „pełne były najlepszych uczuć dla Polski“), tkwi.... w redakcyi *Świata Słowiańskiego*. Węgier ów nie gdzieindziej bowiem poinformowany o tem został. Węgier ów poświadczy, że nawet owe postulaty katedr języka madiarskiego i historyi węgierskiej, a przynajmniej lektoratów na razie — to d e s i d e r a t a, poruszone w rozmowach p r z e z e m n i e. Nie mam zamiaru brać na te pomysły patentu; stwierdzam tylko, że *Świat Słowiański* p a r s f u i t tego, czemu miał rzekomo chcieć przeszkadzać!

Sądziłem tedy, że zanosi się na przyzwoite stosunki, na zawiązek czegoś, co mogłoby dać punkt oparcia nadziejom, że utworzy się grupa Madiarów, z którą możnaby spokojnie i rze-

---

zwiskiem lub swemi inicyałami. (Dlatego też przyjęło się, że współpracownicy, mający takie same inicyały imienia i nazwiska, nie mogą ich jednak używać, jako podpisu, w tem samem piśmie). Artykuł *Rzeczpospolitej* jest redakcyjnym, jako niepodpisany.

czowo dysputować celem dojścia do porozumienia (grupa taka musiałaby oczywiście być opozycyjną wobec dzisiejszego systemu rządowego), i przez całe drugie półrocze 1910 r. nie zamieściłem żadnego artykułu antymadiarskiego. Uważam bowiem dążenie do zgodnego porozumienia za rzecz świętą zawsze i wszędzie; za jedną z owych „wartości stałych“, przed któremi należy się korzyć, jako wznoszącemi się wysoko ponad zamętem nędz naszego żywota. Nie mam też żadnej specyalnej animozyi do Madiarów. Na wszelkie waśnie między narodami zapatruję się w ten sposób, iż uważam to za warunek postępu historycznego, żeby (jak to wyraziłem przy innej sposobności) „doprowadzić kwestyę narodowościową do takiego samego stanu, do jakiego poprzedni okres historyczny doprowadził kwestyę wyznaniową“.

Przypuszczając tedy, że „Listy z Krakowa“ mogłyby się stać zawiązkiem jakiejś akcyi dla nas korzystnej, siedział *Świat Słowiański* przez pół roku cicho — ażeby nie psuć nikomu krwi. Sprawa równouprawnienia Polaków węgierskich przedstawiała mi się wprawdzie bardzo wątpliwą (jako wymagająca zmiany systemu madiaryzmu !), ale należało na wszelki wypadek unikać wszystkiego, co mogłoby utrudnić sytuacyę. Zdawałem sobie sprawę, że nie należy utrudniać pola nikomu, kto chciałby kwestyę polską na Węgrzech, przez *Świat Słowiański* przygotowaną, prowadzić dalej, odwołując się do „tradycyjnej przyjaźni“, ażeby sobie ułatwić zadanie.

Sądzę, że *Świat Słowiański* postąpił tedy z całą lojalnością w tej sprawie.

Nagle ni stąd ni z owąd, w siedm miesięcy po ogłoszeniu artykułu „Bankructwo madiaryzmu“ pojawia się 21 grudnia 1910 r. w tymże *Budapesti Hirlapie* napaść — nie na autora artykułu nawet, lecz wprost na mnie — ale to napaść osobista, karczemna, tak ohydna, że każdy porządny człowiek, choćby największy przeciwnik polityczny, stanąłby w tym wypadku w obronie mojej. Możemy się różnić zapatrywaniami politycznemi, ale katechizm i elementy etyki mamy wspólne.

Rzeczpospolitej artykuł zapewne (z powodu nieznajomości języka) nie jest znany w całości. Jakoż jest w artykule *Rzeczpospolitej* kilka punktów, budzących domysł, że padła do pewnego stopnia ofiarą mistyfikacyi.

Ponieważ artykuł *Budapesti Hirlapu* dotykał zarazem szeregu kwestyj z życia publicznego, przedstawianych mojem zdaniem mylnie, odpowiedziałem nań w zeszycie ze stycznia r. b. artykułem p. t. „Przykład suggestyi politycznej“. Czy było co potem jeszcze na mnie w organie p. ongi Kremsera, który zmienił nazwisko na Rakosyi — niewiem i już nie jestem ciekawy. Polemizować z tem i tak nie będę.

Oto przebieg całej sprawy, przedstawianej opacznie, jakoby *B. Hirlap* wyciągał ręce ku Polakom, a *Świat Słowiański* chciał mu przeszkadzać. Było przeciwnie! *Świat Słowiański* urządził zawieszenie broni, a *B. Hirlap* go zaczepił; nie mając zaś do tego sposobności, czepił się artykułu z przed siedmiu miesięcy, i to tego samego który nie przeszkadzał pisaniu i ogłaszaniu „Listów z Krakowa“. Prosta logika kazała wysnuć wniosek, że *Bud. Hirlap* szuka tylko pozoru, żeby się wycofać.

Świat Słowiański ma więc od tej chwili ręce rozwiązane.

Co do sprawy polskiej na Węgrzech, miło mi stwierdzić, że *Świat Słowiański* dopiął swego o tyle, że istnienie tej sprawy uznają już nawet madiarofile polscy. Oczekuję więc od nich, że jako zaprzyjaźnieni z narodem madiarskim — będą kołatać o równouprawnienie aż do skutku, co zapewne nie sprawi im najmniejszej trudności wobec „tradycyjnej przyjaźni...“ A gdy to nastąpi, *Świat Słowiański* nie omieszka wysnuć z tego konsekwencyi, jako pismo opierające się na faktach i używające metody indukcyjnej (por. artykuł wstępny na styczeń rb.: „Nasza metoda“).

Na razie niema z „ożywionych w ostatnich latach stosunków polsko-madiarskich“ faktów innych, jak sprawa o Morskie Oko — setki gwałtów popełnianych na naszych góralach — i wyrzucenie sekcyi polskiej z kongresu lekarskiego. Jeżeli zaś madiarofile polscy znają jakie fakty przyjazne (bankiety i tańce wykluczam) — czemuż je utrzymują w tajemnicy, czemuż ich nie publikują?

Rzeczpospolita powołuje przeciw *Światu Słowiańskiemu* śp. Stanisława Szczepanowskiego. Otaczam czcią pamięć tego męża, którego miałem zaszczyt poznać osobiście; należałem też do tych, którzy go nie przestali szanować w żadnych okolicznościach jego smutnego życia — ale argumentacya chybiona. Minęło bowiem lat dwadzieścia od po-

chwalnych mów o przemyśle węgierskim i autonomii na Węgrzech. Dziś rozmaite rzeczy okazały się innemi, niż jakiemi wydawały się przed 20 laty [1]).

Dr. Feliks Koneczny.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Ruś, czasopismo poświęcone dziejom i kulturze Ukrainy, Podola, Wołynia i Rusi Czerwonej — wychodzi kwartalnie, w zeszytach objętości około ośmiu arkuszy druku. Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Franciszek Rawita-Gawroński. Prenumerata roczna 12 K; zeszyt osobno 5 K. — Administracya: Lwów, Drukarnia Ludowa, Plac Bernardyński 7.

Pomysł założenia poważnego pisma naukowego dla badań specyalnie nad tokiem dziejowym i rozwojem spraw kulturalnych w prowincyach ruskich — jest tak trafnym, że należy go pogratulować wydawcy. Dzisiaj tyle kłamstw szerzy się o roli historycznej Polaków na Rusi, a głosi się je tak zuchwale i buńczucznie, iż nawet wielu Polaków zaczyna się wahać, nie wiedząc, co sądzić w tej kwestyi. Przeciętny „inteligent" nigdy sam niczego nie bada, tylko nasłuchuje głosów z zewnątrz; zahukany oszczerczymi wrzaskami antypolskimi, a nie słysząc żadnego głosu w obronie polskiej przeszłości, sam w końcu zaczyna podejrzywać. W zbałamuconych głowach polskich zaczyna się już tu i ówdzie moralna likwidacya historyi polskiej na ziemiach ruskich.

Ruś pragnie pouczać, jak ten dział historyi narodowej zapisany jest pracą kulturalną, ile tam włożono polskiego dorobku, który powinien stanowić dla nas integralną część tradycyi narodowej, jeżeli nie mamy okazać się lekkomyślnymi bankrutami.

Drugie zaś zadanie *Rusi:* Oświecać historycznie szereg kwestyj, z których zwykli czerpać argumenty ci z Rusinów, którzy patryotyzm ruski zasadzają na nienawiści Polski — a oświecać nie czem innem, jak faktami i okolicznościami stwierdzonemi historycznie. Daleka od wszelkiej powszedniej polemiki, dostarczać chce *Ruś* prawdy dziejowej i znajomość jej szerzyć.

Zeszyt I-szy *Rusi* przynosi plon obfity:

Zasłużony badacz p. Maryan Dubiecki w artykule „X. Hugo Kołłątaj na Wołyniu" stwierdza, że Kołłątaj był Wołyniakiem. Urodził się w Dederkałach Wielkich pod Jampolem Wołyńskim. Ojcu jego

[1]) Tyle co do rzeczy. Na osobiste wycieczki nie odpowiada się. Sztuka dziennikarska staje się coraz brzydszą, ale ja w tem udziału mieć nie chcę.

dostała się później prawem zastawu wieś Niecieslawice [1]) w Sandomierskiem i stąd pomyłka, jakoby Hugo K. tam się był urodził. Kołłątajowie siedzieli na Wołyniu od czterech wieków. Uwolniony po 8-letniem więzieniu u Austryaków, wraca na Wołyń i staje się prawą ręką Czackiego, który za jego radą obrał Krzemieniec na miejsce wielkiej szkoły wołyńskiej. Zajmowała też Kołłątaja sprawa szkolnictwa ludowego (a więc na Wołyniu ruskiego). W styczniu 1807 wywieziony do Moskwy, odbywał tę przymusową podróż w towarzystwie Seweryna Dubieckiego; tam cały rok przetrzymany, na Wołyń nigdy już nie powrócił.

Zajmujący artykuł p. Aleksandra Prusiewicza: „Teatr polski w Kamieńcu Podolskim“ obejmuje lata 1798—1861 (rosyjscy aktorowie bawili tam po raz pierwszy w r. 1821). W r. 1860 zabroniono wystawiać „Barbarę Radziwiłłównę“ Odyńca i „Ludgardę“ Kropińskiego. W r. 1861 teatr polski przestał istnieć, a miejsce jego zajęła scena rosyjska, subsydyowana przez rząd. Polska mowa odezwała się na nowo ze sceny kamienieckiej w sierpniu 1905, po 44 latach milczenia.

Obok dwóch rozpraw, opisujących, co robili Polacy na Rusi, są trzy poświęcone pracom i dziełom samych Rusinów. Do czasów wojen kozackich podaje cenny przyczynek Dr. Majer Bałaban: „Kroniki, opisy i elegie hebrajskie z czasów Chmielnickiego“ (ogłoszono dopiero początek pracy).

Dr. Ostaszewski-Barański przedstawia: „Pierwsze spory o alfabet na Rusi Czerwonej“. Co za ciekawe wiadomości! Józef II stara się, żeby nie zabrakło duchowieństwa ruskiego i zakłada „prowizoryczny instytut naukowy“, do którego przyjmuje się kandydatów z ukończoną czwartą klasą szkoły normalnej, a w którym z konieczności wykładano po polsku, bo po rusku okazało się to niewykonalnem. W r. 1796 wychodzi rozporządzenie, żeby do seminaryum grecko-katolickiego nie przyjmować nikogo, kto nie umie... czytać po rusku. W r. 1818 postanowił rząd zorganizować szkółki cerkiewno-ludowe, „ale nie było dzieci, któreby się chciały uczyć“. W r. 1809 pojawiają się „pierwsze objawy rusko-austryackiego patryotyzmu“, a „następstwem walki naszej w r. 1830/31 było obudzenie się rusofilizmu w masce austryackiej lojalności“.

Spór abecadłowy rozpoczął się w r. 1834. Rok przedtem wydał Zaleski (Wacław z Oleska) swój cenny zbiór: „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego“, drukując je latynką. Spodobało się to wielu Rusinom. Oświadcza się za tem publicznie ks. J. Łoziński, czyniąc to w porozumieniu z biskupem przemyskim Snigurskim. Za jego przykładem poszedł ks. Kaszubiński. Zaprotestował przeciw temu ks. Józef Lewicki. — Pierwsza ta walka o alfabet odbywała się jeszcze „w formie względnie przyzwoitej“. Następną stoczono w r. 1843/4 przy wydawaniu t. zw. „komeniusza rusko-niemieckiego“, a trzecią w ankiecie zwołanej przez rząd w r. 1859. Wtenczas sam ks. Józef Łoziński miał już zupełnie inne zdanie i zastrzegł się, że „gdyby Wysoki rząd narzucił łaciński alfabet, straciłby niewątpliwie sympatye narodu ruskiego“.

---

[1]) A nie Niecisławice, jak pisze autor. Pozwalam sobie na tę poprawkę, mieszkałem bowiem w tej wsi przez kilka miesięcy.

Zmianę zdania motywował uchwałami „grona uczonych Rusinów, zebranych we Lwowie w r. 1848“ i rozbudzeniem się od tego czasu świadomości narodowej, i dodaje jeszcze:

„Dziś nawet ze ściśle literackiego stanowiska nie mógłbym twierdzić że alfabet łaciński jest odpowiedniejszy, gdyż postanowienia z r. 1848 co do ortografii kirylicą zapobiegły brakom i niejednostajności pisowni“.

Tak upadła sprawa alfabetu łacińskiego, popierana gorliwie przez Zaleskiego i Gołuchowskiego[1]).

Sam redaktor *Rusi* zamieścił ważną rozprawkę p. t. „Nazwa Ukrainy, jej początek i charakter“. Dzięki znawstwu źródeł ruskich, jakiem celuje p. Rawita-Gawroński, mamy stwierdzone, że wyrażenie „ukraina“ używane było przez latopisów ruskich już w XII wieku, a w XV w. znane było też w Polsce i w Moskwie, jako imię pospolite, na oznaczenie pogranicza; znajduje się też w liczbie mnogiej. Była „ukraina“ polska, była i moskiewska. Dopiero pod koniec XVI w. wchodzi w życie „Ukraina“, jako imię własne, wprowadzone przez Polaków na oznaczenie województw kijowskiego, bracławskiego i podolskiego, a następnie i czernihowskiego (z czasem Podole wypuszczono z tej nomenklatury, ale jeszcze Starowolski w połowie XVII w. mówi o „obfitości podolskiej Ukrainy“). Z etnografią nazwa ta nie miała nic wspólnego. — Artykuł krótki, ale pełen cytat, rozstrzygających tę kwestyę najniewątpliwiej (skoro już do tego doszło, że trzeba udowadniać rzeczy nawet najprostsze!).

Bardzo poważnie przedstawia się w *Rusi* dział recenzyj — a nadto należy się uznanie za zaprowadzenie działu: „Bibliografia“.

Pierwszy zatem zeszyt *Rusi* — obejmujący 126 stronic 8-ki — przedstawia się poważnie i nadzwyczaj interesująco. Sam się chwali swą treścią. Popierać szczęśliwie pomyślane wydawnictwo p. Rawity-Gawrońskiego – to obowiązek. *F. K.*

Znane słowa cesarza, wypowiedziane podczas cercle delegacyjnego do **ruskiego** bukowińskiego posła, Wasylki, rozczuliły *Diło*. „Monarcha wie o tem, co się dzieje w Sejmie galicyjskim, a jednak pomimo tego konstatuje, że stanowisko Rusinów jest „sehr erfreulich und gerecht“ i nie czyni posłom ruskim z powodu ich taktyki w sejmie żadnego wyrzutu, nie dotyka tej sprawy w rozmowie z posłami ruskimi, lecz za to wspomina o tem w rozmowie z posłem polskim (Tomaszewskim) i to w formie i tonie, jaki nie budzi żadnej wątpliwości, że wyrzut z tego powodu jest skierowany więcej pod adresem Polaków, niźli Rusinów. — Znaczy to, że monarcha dobrze wie o tem, że polityczne stanowisko Rusinów w kraju i sejmie nie jest niczem innem, jak tylko koniecznością polityczną, której Rusini nie wywołali i za którą nie odpowiadają. Monarcha wie, że tam, gdzie ta konieczność polityczna nie istnieje, tam Rusini dla samej opozycyi nie robią jej, że nie są elementem antypaństwowym, że nie mają tendencyj, skierowanych przeciwko państwu jako takiemu, że tylko położenie bez

[1]) Wbrew rozpowszechnionym w tej sprawie sądom śmiem twierdzić, że — z polskiego stanowiska — dobrze się stało; interes polski wymaga i obecnie utrzymania grażdanki dla piśmiennictwa ruskiego.

wyjścia, wywołane bezwzględnością polską, zniewoliło ich do tamowania pracy sejmu... Tak,. nie inaczej można rozumieć tę wielce polityczną enuncyacyę cesarską; tak, nie inaczej powinno ją rozumieć społeczeństwo ruskie. Naród ruski może się teraz przekonać, że nasza opozycyjna polityka w kraju nie jest czemś strasznem, antypaństwowem, a nasi politycy nie powinni się obawiać ani pogróżek prasy polskiej, ani wysoko-politycznych refleksyj polskich matadorów politycznych i ich „prichwostiw“ (złośliwa aluzya pod adresem *Rusłana).*

Tylko kawiarniany polityk może wyimaginować, że cesarz stanowisko partyi Siczyńskich raczy chcieć uznać za poprawne — „gerecht“...

Ironiczne uwagi *Naprzodu* wytrąciły redakcyę *Diła* z równowagi: — „Sztuczki, jakiemi politycy polscy starali się oczernić przed tronem nasz ruch narodowy, te wszystkie nadużycia zaufania — stoją poniżej punktu najprymitywniejszych kwalifikacyj. Lecz cel swój politycy polscy jednak osiągnęli. Zdołali — nazwiemy rzecz po imieniu — „pidduryti“ kogo trzeba, jakoby istota ruskiego ruchu narodowego zagrażała państwu austryackiemu... Politycy polscy nastroili cesarza i dynastyę wrogo względem narodu ruskiego. A równocześnie jak nastrajali naród ruski przeciwko kierownikowi nawy państwowej? Znowu usilne starania, żeby cały naród utrzymać w tym nastroju, żeby go zmuszać do takich czynów, któreby dawały polskiej kamaryli w Wiedniu pretekst do dalszego oczerniania. Za antymonarchizm i antypaństwowość!“...

Specyalnością *Diła* jest mania: przemieniać polską muchę w... krokodyla. Oto posłuchajmy: „Jesienią ub. r. — alarmuje *Diło* (Nr. 47 „Rusyfikacya Galicyi“) — promował się w uniwersytecie lwowskim na doktora prawa rusofil z partyi Dudykiewicza. Otrzymawszy dyplom doktorski, w którym było zaznaczone, że jest on „natione Ruthenus“, — oświadczył, że on jest „natione Russus“ i zażądał poprawki w dyplomie. Dziekanat zaproponował mu opuszczenie tej rubryki w dyplomie, lecz on na to się nie zgodził, oświadczając, że nie przyjmie dyplomu dopóty, dopóki jego żądanie nie będzie spełnione. I — jak donosi o tem tryumfująca *Prikarpatskaja Ruś* — to żądanie spełniono: wręczono Dr. Kołomyjcewowi dyplom, w którym uwidoczniono, że jest on „natione Russus“. — „Zdaje się, znowu wracają czasy 1908 r. — złośliwie konkluduje *Diło* — kiedy hr. Potocki zdobywał mandat dla Dra Dudykiewicza, a wszechpolacy całowali się z hr. Bobrinskim.“

Zupełnie jak w operetce. Hr. Bobrinskij oskarża Polaków o zbrodnię wynalezienia „intrygi ukraińskiej“, *Diło* zaś — o zbrodnię „rusyfikacyi Galicyi“. Twierdzić, że chwast moskalofilski na Rusi jest „sztucznym produktem“, znaczy niebezpiecznie łudzić się, okłamywać się. *Diło* zanadto ignoruje atawistyczne pierwiastki duszy ukraińskiej — udaje, że nie wie, że moskalofilizm jest produktem ruskiej — antypolskiej firmy. Kto w konstytucyjnej Austryi decyduje o przynależności narodowej? Ażali rząd? Jakiem więc prawem żąda *Diło* od rządu krajowego, ażeby względem „Rosyan galicyjskich“ stosował te same wyjątkowe ustawy, jakie rząd rosyjski stosuje względem żydów?

Jak wiadomo, rząd Stołypina z powodu denuncyacyj „galicyjskich Rosyan“, mszcząc się na Rusinach, których aż cesarz austryacki ku

przerażeniu Meńszikowa raczył „pochwalić“, udaremnił uroczystości jubileuszowe na cześć Szewczenki w Kijowie. Nie dość, że skonfiskował „Kobzarza“ Szewczenki, lecz jeszcze uniemożliwił przyjazd posłów ruskich do Kijowa... Rząd reakcyjny przestraszył się „kramoły ukraińskiej“, zorganizowanej na zgubę Rosyi przez dynastyę austryacką (artykuły Menszikowa w *N. Wremia* oraz *Swieta*). Jak komunikuje *Rada* (Nr. 29 „Bez jubileuszu“) — „komitet, który wziął na siebie urządzenie i odpowiedzialność za tę uroczystość, musi się zrzec jubileuszu, nie mogąc wyjść z honorem z tej opresyi, w jakiej się znalazł dzięki alarmom reakcyjnej prasy rosyjskiej. My nie mamy potrzeby dodawać do tego faktu żadnego komentarza“...

Lecz za to galicyjska prasa ruska komentuje obszernie ten fakt. *Hromadśkyj Hołos* (Nr. 8), oburzając się na „rosyjskich chuliganów“, którzy zaalarmowali rząd wróżbą, że z przyjazdem posłów ruskich do Kijowa ściśle się wiąże misya, aprobowana przez cesarza Austryi, mająca na celu „wywołanie rewolucyi na Ukrainie“, względnie zainicyowanie austrofilizmu wśród Ukraińców, — kończy takim ze wszech miar nierozważnym (wcale nie radykalnym!), wielce dwuznacznym, złe myśli inspirującym aforyzmem: „Zresztą o austryackich sympatyach rosyjskich Ukraińców nie może być żadnej mowy. Oni dobrze wiedzą (?!), jak ciężko nam żyć w austryacko-polskiem jarzmie (sic!). — Nikomu z nich nie może przyjść do głowy myśl o tem, żeby dobrowolnie pchać się do tego jarzma!“... Organ radykałów ruskich wielce podejrzaną metodą uspokaja „chuliganów rosyjskich“. Gdyby chłop z rosyjskiej Ukrainy dobrze wiedział, co to jest to „jarzmo austryacko-galicyjskie“, niezawodnie odpowiedziałby radykałom ze Lwowa: „breszesz, durnyj!“...

Meńszikow zatryumfował ku wielkiej przestrodze dla Ukraińców. Na slawnej pamięci bohatera Ukrainy, Tarasa Szewczenki, czarnosecinna Rosya wypisała groźne mene-tekel-fares!... „Jubileusz bez jubilata, — woła *Rada* — ale taki jubileusz napewno potężniej przemówi do serc ludu, niźli najwspanialsze uroczystości“. Uwaga słuszna. Biurokracya rysyjska pracuje na swoją własną zgubę — świetnie agituje za sprawą Ukrainy, metodą bankrutów moralnych...

Najbezwzględniej przeciwko rządowi Stołypina wystąpił *Rusłan* (Nr. 47): „Niedawno, tak bardzo niedawno nadeszła z Ukrainy smutna wieść, że w Kijowie rząd zabronił obchodzić jubileusz Szewczenki. Ta straszna krzywda, która woła o pomstę do Boga, miast wywołać powszechne oburzenie, wykazała, że u nas, w Galicyi, są otwarte rozumy, lecz za to przytępione nerwy. Jakże bowiem inaczej możemy sobie wyjaśnić to grobowe milczenie, jakie nastąpiło po nadejściu tej boleśnie smutnej wieści? Gdzież ten krzyk oburzenia, który powinien był się wyrwać przynajmniej tu — w konstytucyjnej Austryi z setek tysięci piersi? Gdzież te wiece, zebrania, wyrażające choćby nawet konwencyonalne protesty? Dlaczego ten głos oburzenia nie przejmuje najniższych warstw naszego społeczeństwa? Czyżby nasze nerwy już do tego stopnia stępiały? Czy nie ruszymy się wszyscy, ale to literalnie wszyscy, do zgodnego protestu, któryby był najpiękniejszym kwiatem jubileuszu?... Hej, kto żyje, do żywej pracy! Wszyscy jak jedna dusza, powinniśmy święcić jubileusz Szewczenki, który będzie równo-

cześnie świętem protestu przeciwko samowoli moskiewskiej i zapowiedzią piękniejszej przyszłości dla całego narodu ukraińskiego!“...

Na to patryotyczne wezwanie *Rusłana Diło* nie raczyło się odezwać. Patryotyzm *Diła* w stosunku do oficyalnych sfer Rosyi jest bardzo wstrzemięźliwy („dyplomatycznie“), lecz za to względem Polaków jest wściekle straszny.

Wymownym przykładem jest stanowisko *Diła* wobec Rady szkolnej krajowej, która zezwalając na urządzenie poranków w cześć T. Szewczenki w murach zakładów naukowych, zastrzegła się przeciwko wpływom politycznych partyj, a zwłaszcza agitatorów partyjnych (którzy — mówiąc nawiasem — wywołali jednak demonstracyjny strejk młodzieży ruskiej). W odpowiedzi na prośbę Towarzystw ruskich, wniesioną do Rady szkolnej krajowej, aby „zezwoliła urządzić uroczyste obchody dla uczczenia pamięci 50-tej rocznicy śmierci T. Szewczenki we wszystkich zakładach naukowych Galicyi wschodniej“ — Rada szkolna krajowa specyalnym okólnikiem zezwoliła „na urządzenie poranków na cześć Tarasa Szewczenki z tem zastrzeżeniem, że poranki te mają się odbyć w murach zakładu przed południem, że progam przedłoży Dyrekcya do zatwierdzenia c. k. Rady szkolnej, że kierownika zakładu czyni się odpowiedzialnym za zachowanie się młodzieży w czasie obchodu, że w dniu, w którym prywatne komitety miejscowe urządzają obchody Szewczenki, nauka ma się odbywać prawidłowo“...[1]) Właśnie ta odpowiedź Rady szkolnej oburzyła patryotyczne uczucia *Diła* potężniej, niźli konfiskata „Kobzarza“ i zakaz uroczystości w Kijowie!...

Rada (Nr. 28) w artykule „Nasza niemoc“ porusza bolesną dla Rusinów kwestyę ignorancyi, z jaką się spotyka ich ruch narodowy zwłaszcza w prasie rosyjskiej. „Skargi na to, że prasa rosyjska ignoruje narodowy ruch ukraiński, są słuszne. Lecz gdzie przyczyny tego złego? W życiu politycznem, jak wiadomo, liczą się tylko z siłą. Tu skargi, żale, narzekania, wzywania na sąd sprawiedliwości, są tylko pustą gadaniną, na jaką nikt żadnej uwagi nie zwraca. Skargi nie pomogą nam ujawnić tej siły, na której brak choruje nasz młody ruch ukraiński. Najpierw trzeba pracować nad podniesieniem ukraiństwa — jako narodu, — nad pogłębieniem w duszy mas idei ruchu ukraińskiego. To nic nie znaczy, że Ukraińców jest 27—30 milionów. Te 27—30 milionów w wielu wypadkach mniej znaczą, niźli daleko mniejsze organizacye narodowe. Trzeba być (to rzecz najważniejsza) narodem moderne: trzeba nietylko stanowić odrębny typ etnograficzny, lecz jeszcze mieć świadomość odrębności narodowej, oraz pracować nad podniesieniem stopnia kultury... Jeżeli chcemy oderwać warstwy ukraińskie od życia rosyjskiego i skierować je do naszego rodzimego życia, musimy nasamprzód o to nasze rodzime życie troszczyć się. Słowem, trzeba jak najusilniej pracować nad podniesieniem i rozwojem naszego ducha narodowego, nad rozwojem jego siły, której najlepszym wyrazem wielka kultura narodowa“....

Diło na ten temat powinno częściej rozmyślać, aby się wyleczyć z manii taniego dorabiania się....

---

[1]) postąpiła więc władza szkolna zupełnie tak samo, jak postępuje wobec szkół polskich w analogicznych wypadkach.

Organ duchowieństwa ruskiego, *Nywa* (Nr. 5), kategorycznie zastrzega się przeciwko zakusom pewnych polskich księży katechetów, usiłujących wpoić dziatwie ruskiej przekonanie, że i Polacy i Rusini powinni się nazywać rzymsko-katolikami. (*Gazeta kościelna* Nr. 44. 1910 r.: „w pismach urzędowych wkrada się dziwny a logicznie nieuzasadniony zwyczaj tytułowania: „grecko-katolicki urząd parafialny", jakoby obrządek grecki nie był „rzymsko-katolickim"). „Termin rzymsko-katolik — argumentuje autor artykułu, O. Ratycz — jest wyłącznie tylko obrzędowy, przenigdy dogmatyczny, bo któż się zgodzi, żeby wiara (fides, religio) była rzymsko-katolicką?.... Dla odróżnienia prawdziwej, czystej religii chrześcijańskiej od skażonej religii Chrystusa, dodajemy: religio christiano-catholica, albo króciej catholica. Wiara nie jest rzymską, ale wszechświatową, wszechnarodową, wszechterytoryalną — jest katolicką. To prawda, że Stolica rzymska jest prawnym stróżem, nauczycielem, interpretatorem, lecz nie jest wyłącznym posiadaczem... Nam chodzi tylko o zaznaczenie odrębności obrzędowej; terminem greko-katolicy zaznaczamy pochodzenie naszego obrządku, a równocześnie odróżniamy się od prawosławnych, którzy mają również obrządek greckiego pochodzenia".... O. Ratycz z odrębnością obrządku ściśle wiąże odrębność narodową. Obawia się, żeby zatarcie różnicy obrządków nie spolonizowało Rusinów. „Jeżeli chodzi o naszą zależność od Rzymu, to my po prostu katolicy. W stosunku do Polaków nazywać się będziemy greko-katolikami!"....

Rusłan (Nr. 46) przedrukował artykuł wołoskiej gazety *Romanul* (wychodzącej w Aradzie, na Węgrzech), rzucający ciekawe światło na Rusinów węgierskich. „Nieszczęsna, t. zw. nacyonalistyczna, polityka Madiarów — pisze *Romanul* — doprowadziła do tego, że duchowa kultura Rusinów upadła poniżej miary kulturalnie najciemniejszych krajów Europy. Na domiar złego doczekaliśmy się już tego stanu, że większość duchowieństwa ruskiego sama się zalicza do madiarskiej narodowości. Samo przez się rozumie się, że węgierscy Rusini, będąc w tak ciężkich warunkach, nie mają żadnych towarzystw, albo innych organizacyi (jedno towarzystwo istnieje tylko na papierze), nie mają żadnego piśmiennictwa, a zwłaszcza dziennikarstwa, okrom wydawanego kosztem rządu w Budapeszcie tygodnika *Nediła*, oraz tygodnika *Nauka*, wydawanego przez księdza w Użgrodi, które są karykaturami dzienników co do treści i języka.... Przyczyna, dla której rząd węgierski gnębi węgierskich Rusinów, spoczywa nietylko w tendencyi polityki madiarskiej; trzeba uwzględnić jeszcze znane hasło panslawizmu, z którem ściśle się wiąże pochód rosyjski na Węgry w pamiętnym roku rewolucyjnym. Wówczas to powstał na Rusi węgierskiej ruch moskalofilski.... Ażeby zniszczyć moskalofilstwo, Madiarzy zaczęli gnębić wszelki ruch narodowy Rusinów. Lecz te usiłowania rządu nie odniosły pożądanego skutku; moskalofilstwo szerzy się, potęguje się wśród Rusinów węgierskich! Odpowiedź na pytanie, kto wygra w walce z rosyjskim „panslawizmem", nasuwa się sama przez się".... Tyle *Romanul*.

Rusłan, reflektując na te wywody, usprawiedliwia galicyjskich Rusinów, którzy — walcząc z hegemonią polską oraz szerząc propagandę na rosyjskiej Ukrainie — nie mogą skutecznie wpływać na węgierskich Rusinów w duchu narodowym. Zapomniał *Rusłan* dodać, że „furor polonicus" niebezpiecznie zaślepia wodzów narodu ruskiego. *h.*

Redakcya **czeskiego** *Přehledu* otrzymała w sprawie głośnej o papiery pewne w sprawie serbskiej, które zdaniem prof. Masaryka są falsyfikatem sporządzonym z inicyatywy i przy współudziale dyplomacyi austryackiej, a którą to sprawą zapełnione były gazety przez kilka miesięcy z rzędu — artykuł podpisany literami V. J. H., o którym powiada słusznie w przypisku od redakcyi:

„Wśród istnego potopu prostych referatów w sprawie Masaryk — Forgach — Aerenthal w prasie czeskiej, ogłaszamy tę uwagę krytyczną o całej sprawie, która — niestety — ani nawet ostatnią mową prof. Masaryka w delegacyach nie została w zupełności wyjaśniona“.

Prof. Masaryk zapowiedział, że w delegacyach przyprze już urząd spraw zagranicznych do muru i przeprowadzi całą tę kwestyę „usque ad finem“.

W tym celu wybrano go też do delegacyi, pomijając przedstawiciela stronnictwa katolicko-narodowego, na które wypadał turnus umówiony pomiędzy czeskiemi klubami.

Tytuł artykułu *Přehledu* (Nr. 23) zatytułowany też „Usque ad finem“ i autor upomina się o ten „koniec“. Ale w dyskusyi w delegacyach „nie odniósł prof. Masaryk tego zwycięstwa, na które zasługiwałby wobec usilnych swych starań o odczyszczenie naszej dyplomacyi“. Wszak zapędził się tak dalece, iż przypisał hr. Forgachowi słowa:

„Odpowiedzialność moralna spada na ministerstwo spraw zagranicznych; nie wykonałem ani dwóch trzecich z tego, czego wymagano odemnie przeciwko Serbii“.

Na trzy tygodnie przed mową Masaryka w delegacyach (22 lutego) wyszła (31 stycznia) broszura Leopolda Mandla „Oesterreich-Ungarn und Serbien“ (z której już 2-go lutego było sprawozdanie w *Berliner Tagblatt)*, starająca się wykazać, że Serbia przemycała do poselstwa austryackiego w Belgradzie falsyfikaty przez Vašića i podobne indywidua, żeby koniecznie wywołać wojnę. A gdy się to nie udało, chcianoby się przynajmniej pozbyć Aerenthala, do czego wśród innych sposobów użyto i tego, iż wmówiono w łatwowiernego Masaryka, że falsyfikaty wzięły początek od Austryi. Aerenthal przeczy każdemu z wywodów Masaryka — punkt po punkcie — a Masaryk nie ma dowodu niezbitego. „Prof. M. może mieć słuszność we wszystkiem, co twierdzi, ale też może być sam częściowo ofiarą pomyłki, w jaką go wprawiono w Serbii. Rzecz nie wyjaśniła się w zupełności ani w delegacyach, jak tego pragnęliśmy, a pozycya prof. Masaryka była silniejsza przed mową z 22. lutego, niż po niej“... „A jeżeli hr. Aerenthal odejdzie z urzędu spraw zagranicznych, nie nastąpi to zasługą prof. Masaryka i delegacyi czeskiej, lecz za wpływem Rosyi i Niemiec, dla których — jak wygadało się dobrze *Russkoje Słowo* — polityka jego była zbyt samodzielna. Tkwi w tem straszliwa ironia na taktykę naszych posłów; jeżeli hr. Aerenthal upadnie, stanie się to z powodu przeciwieństwa tego, o co go obwiniali, nie dlatego, że podał nas w zbytnią zależność od Berlina, lecz dlatego, że popróbował się od niego emancypować. Przyszłość dopiero okaże, o ile wina spoczywała w nim, jako nierozumiejącym narodów, o ile zaś o narodach, które nie chciały go popierać. Stanowczo będzie jednak era Aerenthala znowu

jedną ze smutnych chwil austryackiej polityki mocarstwowej; była to doba, kiedy mogliśmy sporo zyskać, a lekkomyślnie zyski te przefrymarczyliśmy“. *k.*

Najpoważniejszy z prasy **słowackiej** *Slovenský Dennik* pracuje nad zorganizowaniem niemadiarskich narodowości do wspólnej solidarnej akcyi i wzywa je, by już raz przestały kręcić się za wiatrem politycznym, lecz przeszły do czynnej polityki, węgiersko-słowiańskiej, opartej na zasadach demokracyi i postępu. Nastąpiła na ten temat wymiana zdań. Z pośród Serbów zabrał w tej sprawie głos na szpaltach *Slovenskego Dennika* dr. Michal Polit-Desančić, weteran-polityk, człowiek dobrze obeznany z polityką narodową na Węgrzech. Postawione przez niego wnioski są wytycznemi także słowackiej polityki narodowej, dlatego przytaczamy je na tem miejscu: Błędne jest to zapatrywanie, że niemadiarskie narody mają dążności antypaństwowe i nie są dobrymi patryotami. „My kochamy tę swoją ojczyznę taksamo jak Madiarzy, lecz żądamy tylko zabezpieczenia swego narodowego bytu. Jako demokraci, żądamy powszechnego prawa wyborczego z głosowaniem według wsi. Chcemy reformy wyborczej nietylko do sejmu, ale także do komitatów. W interesie lepszej i sprawiedliwszej administracyi żądamy, jeśli to jest gdzie potrzebne, zaokrąglenia komitatów na podstawie narodowej, z prawem urzędowania w języku większości i z zabezpieczeniem praw językowych mniejszości. Żądamy wszechstronnego udziału niemadiarskich narodowości we wszystkich przejawach państwowego życia: w administracyi, w sądownictwie, w szkole, we wszystkich wogóle instytucyach. W różnojęzycznem państwie węgierskiem uznajemy hegemonię, na zasadach demokratycznych opartą, plemienia madiarskiego, ale nie możemy mu przyznać supremacyi. Hegemonię pojmujemy w znaczeniu przewodnictwa, supremacyę zaś jako panowanie“.

Madiarońskie pisma słowackie, przez rząd wydawane, pałają wielką nienawiścią do Czechów i w każdym prawie numerze spotwarzają ich, spodziewając się w ten sposób odwieść Słowaków od sojuszu z nimi. Jako klasyczny przykład tego podajemy w dosłownym przekładzie artykuł *Krajana* (nr. 8) o projekcie uniwersytetu czeskiego w Bernie:

„Do niedawna nie chciano mieć na Morawach żadnych stosunków z czeskim językiem. Czego jednak Morawcy nie chcą, tego domagają się Czesi. Urządzili Czesi wielkie zgromadzenia w kwestyi założenia uniwersytetu czeskiego w Bernie, nietylko na Morawach, ale i na Śląsku, na których wszędzie żądali drugiego uniwersytetu, żeby go utworzyć na żądanie całego narodu czeskiego. Żądanie Czechów jest ich rzeczą. Dziwi się tylko cały świat, jakiem prawem mieszają się Czesi do stosunków domowych Moraw. Jeśli uniwersytet w Bernie jest potrzebny, niechaj będzie utworzony, ale niech będzie morawskim, a nie czeskim. Czesi mają wielki uniwersytet w Pradze, na którym jednakże mało mają słuchaczy, gdyż każdy zapisuje się chętniej na niemiecki. Skoro więc praska wszechnica niema dostatecznej liczby słuchaczów, poco żądają jeszcze czeskiej w Bernie? Tak, Czesi chcą przeszczepić na Morawy swoją kulturę, ale Boże broń od tego daru! Albo różnią się Morawcy od Czechów językiem, albo nie. Jeśli się różnią, to niepotrzebny im czeski, lecz morawski uniwersytet.

jeśli zaś niema różnicy językowej, to dlaczego Morawcy nie nazywają się Czechami? Poto żądają Czesi uniwersytetu w Bernie, aby ściągnąć nań naszych słowackich synów". *ek.*

Warto przytoczyć ze *Slovenského Dennika* (Nr. 45) następujący, w anegdotyczną formę ujęty, obrazek z rozwoju owego przemysłu „węgierskiego", tak imponującego wielu z naszych:

„Od soboty (po zamknięciu delegacyi) smutno znów w Budzyniu — odeszli od nas delegaci austryaccy, wyjechał Aerenthal, Burjan, Schönaich, odjechał i monarcha, a — odejdzie też od nas kilkaset milionów. Ale jedna zdobycz przecież nam zostanie. Ze 312 milionowych dostaw na okręty dostanie przemysł węgierski zamówień na kwotę 113 milionów. Przemysł węgierski! Nie myślcie tylko przemysłowcy nasi, że te roboty dostaną się wam! Nie. „Przemysł węgierski", to w tym wypadku Manfred Weiss, fabryka rusznikarska. Kto to ten Weiss? Ależ Boże, no Weiss przecież!

Ktoś chciał pewnego razu założyć w Preszbugu fabrykę dla dostaw wojskowych i zaczął się umawiać w ministerstwie handlu, co też państwo dałoby w niej robić:

— Patrony?

— Patrony, to się nie da. To robi Manfred Weiss.

— Naboje?

— Nic można. To wyrabia Manfred Weiss!

— Piece polne?

— I to ma już przemysł węgierski: Manfred Weiss!

— Pościele żołnierskie?

— Manfred Weiss!

Naczynia do kuchni polowych?!

— Fabryka Manfreda Weissa w Czepelu!

— Guziki?

— Manfred Weiss!

Dla nowej fabryki pozostawały tylko szable dla konnicy ale tego nawet na wypadek wojny jest wszystkiego razem za jakie 500.000 koron. A zresztą są spore zapasy na całe lata. Zapasy sporządził Manfred Weiss".

Pomiędzy prasą **słowieńską** a młodoczeską odbyła się ostra polemika:

W Nrze 52 *Slovenca* z 4 marca pojawił się artykuł wstępny p. t.: „Lepa hvala za take prijatelje!"! (= dziękujemy ślicznie za takich przyjaciół!).

Redakcya zaczyna od tego, że wiadomo, jak Šusteršič jest zwolennikiem tryalizmu. Program ten głosi też publicznie w delegacyach ks. Lichtenstein, hr. Jarosław Thun, a w tym roku ks. Schwarzenberg, osobisty przyjaciel następcy tronu. Przeciw tryalizmowi są nietylko Niemcy i Madiarzy, ale Serbowie i Dr. Kramař, „przyjaciel Hribara". Obydwaj ci mężowie „żyją tylko z grubej reklamy". Kramař narobił Czechom opinii żywiołu nieprzyjaznego monarchii swoją „barnumbajlejską polityką". Kokietuje dookoła z wszystkimi, którzy nie życzą sobie wzmocnienia Austryi, ale za to „jest wielkim przeciwnikiem Chorwatów i ludu słowieńskiego". Baron Burian, dążący do opanowania Bośny

przez Madiarów, „wybrał sobie na pomocników Serbów i p. Kramařa". Bar. Burian postarał się o oświadczenie serbskich posłów w sejmie bośniackim, z protestem przeciw tryalizmowi, a z prośbą, żeby w ramach dualizmu zrobić z Bośny prowincyę autonomiczną — a Kramař stanął po ich stronie i stał się w delegacyach rzecznikiem programu serbskiego. Boi się zjednoczenia żywiołów katolickich wrazie tryalizmu, ten „pełen tyrad słowiańskich" polityk. „Zachowaj nas Boże od takich przyjaciół teraz i na zawsze — amen".

W całym artykule niema najmniejszej alluzyi do narodu czeskiego; jest mowa tylko o Dr. Kramářu. Pomimo to stał się on przedmiotem debat i dochodzeń w Jednocie Słowiańskiej. Zwrócono się przeciw Dr. Šusteršičowi. Ten odparł, że o artykule wie tyle, co inni, t. j. dowiedział się o nim, gdy czytał *Slovenca*, który jest pismem całkiem niezależnem; dodał, że nie solidaryzuje się z napaściami artykułu, o ile są skierowane przeciw osobie Kramářa — ale też zażądał, żeby *Narodni Listy* przestały napadać na niego.

W Nrze 57 pojawił się znów artykuł wstępny, tym razem nawet z oficyalnym podpisem: „Uredništvo Slovenca", a p. t. „Českim Kolegom!". *Slovenec* wyliczywszy szereg wypadków, w których pisma czeskie szerzyły bajki i plotki o sprawach słowieńskich ludowców, oświadcza, że już im to wybaczy, ale żadną miarą nie może puszczać płazem napaści na naczelnika stronnictwa, Dr. Šusteršiča, „a Dr. Kramař niechaj pamięta, że znane nam są dobrze stare jego intrygi przeciw naszemu stronnictwu. Nie imponował nam nigdy, jako polityk".

Szło więc na ostre i nauczka była ciężka. Formalnie Dr. Šusteršič jest w porządku i można wierzyć, że o artykule pierwszym *Slovenca* nie był uprzedzony. W redakcyi musiano jednak wiedzieć, że ostre wystąpienie przeciw Dr. Kramářowi nie będzie przeciwne jego widokom — podobnie jak w redakcyi *Nar. Listów* wiedzieli, że mogą wypisywać na słowieńskiego przywódcę, co się zmieści. Ostatnią kampanię wszczęły istotnie *Nar. Listy*, a że *Slovenec* umiał ją zakończyć ze swoją korzyścią, to świadczy znowu, że w Lublanie mają więcej sprytu politycznego, niż w Pradze. Umieją pracować ciszej, a ze stanowczem wystąpieniem czekają, aż przeciwnik okaże jaką słabą stronę...

Tržaški Lloyd, organ sfer handlowych południowej Słowiańszczyzny napisał o tryaliźmie: „Niema najmniejszej wątpliwości, że to, co się stać musi, nastąpi wcześniej, czy później... Tryalizm monarchii habsburskiej jest kluczem do rozwiązania wszystkich kwestyj, nurtujących w naszem życiu publicznem, jest warunkiem naszego rozwoju ekonomicznego, czyto w przemyśle, czy w handlu zamorskim, i w ogóle jest warunkiem wszelkiego postępu... Ustanowienie tryalizmu jest rozwiązaniem sprawy samego tronu Habsburgów i utrzymania go. Taką jest naga prawda"... podczas gdy dualizm „jest śmiercionośnym pierwiastkiem dla przyszłości monarchii i dla istnienia dynastyi habsburskiej... Jeżeli dynastya habsburska chce utrzymać siebie i państwo, musi przeciąć ten sznur, zadzierżgnięty koło karków narodów austryackich, żeby je zadusić"... *k.*

Veda, dvomesečnik za znanost in kulturo („Wiedza", dwumiesięcznik, poświęcony nauce i kulturze). V Gorici. Rocznie 8 kor.

Słowieńcom przybyło pismo — bardzo poważne, jakiego właściwie nie mieli. Jako wydawcy podpisani ludzie młodzi, ale mający już imię i u postronnych szanowane: Albert Kramer, Ivan Prijatelj, Mihajlo Rostohar i Bogumil Vošnjak. Techniczne prowadzenie pisma objął dr. Ivan Prijatelj, nakładcą jest A. Gabrščck, właściciel zasłużonej w dziele narodowem „Goriške Tiskarne". Zeszyt pierwszy przedstawia się nader poważnie i wartościowo. Krytyka literacka dwu dzieł w każdym razie cennych (I. Grafenauera „Zgodovina novejšega slovenskega slovstva" i Glonara „Slovensko slovstvo" na str. 97—112) zawiera właściwie same rzeczowe poprawki i uzupełnienia; ani pół wiersza nie zmarnowano na próżny frazes. To znamię dobrze wróżące. Interesujące są zaczątki kilku rozpraw istotnie naukowych: Slovenščina pod Napoleonom — Ideje o zgodovini (dziejach) filozofie južnih Slovanov — Uvod v naraven (przyrodzony) nazor (pogląd) o svetu i t. d. Tym razem jednak najbardziej zaciekawia nas program — zapowiedź wydawców.

Przedmowa redakcyjna charakteryzuje dotychczasowe życie społeczeństwa słowieńskiego: „bili smo narod kmetov in zato nismo bili narod... smo imeli znanost in učenjake brez naroda". „Inteligencya jest duchowo głodna, ludzie wiedzy w ojczyżnie przebywający marnieją, bo ich trapi małość, brak interesowania się prowincyi i oderwanie od żywych prądów; ludzie nauki znowu na obczyźnie nie mają spoidła w porozumiewaniu się z rodakami". Temu chce *Veda* zaradzić. Chce ogłaszać przedewszystkiem rozprawy i prace naukowe, chce informować świat swój o postępie wiedzy w Europie, chce organizować ankiety w zagadnieniach prawa narodów, gospodarstwa narodowego, kultury słowiańskiej i organizacyi naukowej. Prągnie stworzyć bibliografię słowieńską pełną, chce być trybuną generacyi. Świat jugosłowiański ma w niej znaleść swe zwierciadło; *Veda* będzie ogłaszać prace chorwackie (serbskie) latynką w oryginale, a bułgarskie w przekładzie. *Veda* ma przedewszystkiem „przygotować i stwarzać wewnętrzną koncentracyę rozbitych obecnie sił, zbliżać naukowych pracowników i utworzyć z różnych, dotychczas wobec siebie wzajem obojętnych gron i kółek, jednę gromadę z wielkim organem". Imiona wydawców dają rękojmię, że tego *Veda* dokaże. *mg.*

Naši Zapiski, socialna revija. Wydaje konsorcyum „Naših Zapiskov" w Lublanie, pod redakcyą dr. A. Dermoty w Goricy. Rocznik VI. (1909) str. 288. Rocznik VII. (1910) str. 384. Roczna przedpłata 4·80 K.

Siedm lat już wytrwali w swoim programie ci młodzi, co nieść przed narodem oświaty kaganiec sobie przedsięwzięli, nie chcąc iść za żadnem stronnictwem na ślepo, ani „liberalnem" ani „klerykalne". Są ci sami pracownicy, co dali zaczątek pismu, ale koło ich rośnie, nowi przybywają. A znać i myśli im przybywa, a sąd ten osobisty opieramy na fakcie, że organizatorowie *Vedy*, to prawie wszystko „Zapiskowcy". I ogniskują się; — nie bez racyi głębszej i *Veda* wychodzić będzie w Goricy, nie w Lublanie; i *Naši Zapiski* z nowym rocznikiem przenoszą się nawet z administracyą i konsorcyum do Goricy.

W roku 1909 pracują w *N. Z.* dr. Iv. Prijatelj, dr. Kidrič, dr. B. Vošnjak, dr. D. Lončar, dr. A. Dermota, Kristan i Cankar

i Župančič — starczy nazwisk tyle. Dwaj ostatni po Gregorčiču i obok Aškerca najwybitniejsi poeci i noweliści; Kristan, praktyczny ekonomista jakby ze szkoły Wawrzyniakowej; Prijatelj i Kidrič doskonali krytycy i historykowie literatury, zwłaszcza ojczystej. Inni z wymienionych, to miłośnicy nauk społecznych i politycznych. Dr. Lončarowi i my ze Słowieńcami wdzięczni jesteśmy za bogatą polityczną korespondencyę Bleiweisa, którą w tym roczniku ogłosił. Skorzysta z niej i pióro polskie. Dla slawistów znowu zajmującą będzie rzecz dr. Kidriča „Pomote in potvare za razne potrebe“ (Błędy i pomyłki...); rzecz to prowadzona i w drugim roczniku. Tutaj są uwagi krytyczne i prostujące historyę i treść rękopisu z książnicy admonckiej „Admontski Očenaš, Češčena Marija, Vera itd. w domačem jeziku...“, tam będą: Admontska „vindiška“ abeceda, — maša (msze) v „vindiškem“ jeziku. Długą rozprawę poświęcono „Anarchizmowi“ (R. L.) i „Znaczeniu socyologii“ (Vošnjak). Najbardziej jednak przeglądane będą te prawdziwe zapiski przez każdego, co zechce z *N. Z.* korzystać, a są bardzo w treść bogate; szkolne, polityczne i narodowo-gospodarcze.

W roczniku VII., już obszerniejszym, treść ma i barwy więcej. Dr. Ferfolja ogłosił tu „Masarykową praktyczną filozofię“; dr. Dermota przedstawił stosunek swych kolegów do mistrza praskiego („Masaryk in Slovenci“), któremu wiele z uznaniem zawdzięczają; prof. dr. Chodounský z Pragi omówił „Prospekti slovanske umetnosti in kulture“. Vl. Knaflič rozpatrzył „Raison d'être kulturnega boja na Slovenskem“. Pracowników przybyło przeszło połowę. Najbardziej mnie zainteresowały „Slovenske narodnogospodarske črtice“ Józ. Agneletty. Pouczające są tabele wytwórczości i konsumcyjne i stowarzyszeniowe. Np. w ziemiach: Styryi, Korutanach, Krainie, w Tryeście, Goricy, Istryi i Dalmacyi istnieje towarzystw kasowych i zaliczkowych 10.099, spożywczych 1260, kmiecych „zadrug“ 2607, towarzystw przemysłowych 910, budowlanych 236, związków towarzystw 78. Stosunek kapitału obcego do słowieńskiego w ziemiach słowieńskich wymienionych powyżej jest bardzo niekorzystny, bo w łącznej liczbie 49 towarzystw akcyjnych 4 są słowieńskie, a w kapitale ogólnym 119,360.340 K. jest ich ledwie 2,800.000 K. Niemcy mają towarzystw akcyjnych 18 (46,317.500 K). Włosi 19 (27,342.840 K.), spółki niemiecko-włoskie 4 (10,100.000 K.), żydowskie 2 (20,000.000), francusko-niemiecka 1 (9,800.000) i 1 chorwacka (3 mil.).

Naši Zapiski są coraz pożyteczniejszem czasopismem. *mg.*

Fakty, które doprowadziły znów do odroczenia sejmu **chorwackiego**, znane są z gazet. Fakty? Źle się wyraziłem! Cechą tych spraw jest właśnie absolutny brak jakichkolwiek faktów wśród nieustannej gadaniny. — O gdybyż wstali „Leh, Čeh i Meh“ i odebrali Chorwatom dar wymowy!

Splicka *Sloboda* (organ hrvatske pučke napredne stranke) zamieściła w Nrze 19 artykuł nader znamienny dla stosunków panujących na południu, a wprowadzający nas in medias res ich życia publicznego.

„Nauka Stadlera (ks. arcybiskup sarajewski) wychowuje sobie zwolna i wśród nas narybek. Nauka, że Chorwat jest synonimem katolika,

a więc, że Chorwat musi niszczyć wszystko, co niema piętna katolicyzmu, była nam tu w Dalmacyi obcą, bośmy zawsze bywali rozumni na tyle, że w sprawach i walkach narodowych nie pytaliśmy się nikogo o wyznanie a trzymaliśmy się tego, że w tych walkach korzystnem jest dla nas wszelkie jednoczenie się, bez względu na wyznanie. Zacięci prawaszowie negowali u nas dotychczas Serbów, jako będących politycznie Chorwatami, ale teraz *Hrvatska Kruna* ostatnim swym artykułem: Vrludanje politike kod Hrvata i naša braća Srbi, wszczęła kampanię przeciw Serbom w imię katolicyzmu, bo „Serbowie nienawidzą nas jako Chorwatów i jako katolików, i gdzie oni górą, tam niema mowy ani o chorwatstwie, ani o katolicyzmie“, przez co „przeszkadzają wielce naszemu zjednoczeniu“. Artykułów napisał wprawdzie „prijatelj sa strane“ ale *Hrvatska Kruna* zidentyfikowała się z nim przez to, że nie dodała od siebie ani słówka żadnej uwagi. To pewna, że artykuł ów jest tak naiwny i nie mający żadnej powagi, że nie zdoła wytworzyć i w Dalmacyi prądu katolickiego. Bądźcobądź wskazuje jednak, że są i u nas ludzie, którzy chcieliby działać w tym kierunku w łonie stranki prawa i nakierować ją do tej roboty. Ale Dalmacya nie jest Bośną trójwyznaniową, w której jedna warstwa mogłaby pod przewodem biskupa działać wbrew polityce narodowej. Okazało się to najlepiej na niepowodzeniu, na jakie naraziła się robota biskupa Nakića i jego pomocników w dyecezyi splickiej. Zamiast przynieść korzyść katolicyzmowi, robota ta osłabiła wielce moc i wpływy duchowieństwa w narodzie. To samo spotka też i onych od *Hrvatskej Kruny*, chcących wyzyskać katolicyzm do swych celów stronniczych, na wskróś nizkich i szpetnych“. *k.*

Bardzo zgubny rozstrój polityczny panuje wśród **Serbów,** mieszkających na Węgrzech. Dało się to zauważyć już w czasie ostatnich wyborów do sejmu węgierskiego. Wówczas to serbscy radykali zawarli pakt z Justhowcami, stronnictwo wolnomyślne było zbyt nieliczne, demokraci byli rozszarpani aż na pięć grup, a utworzyło się wtedy w Nowym Sadzie jeszcze nowe stronnictwo, jakby ich mało jeszcze było, z tych narodowców, którzy wystąpili z partyi radykalnej. Wobec takiego rozdrobnienia nic też dziwnego, że rząd bardzo łatwo pousuwał z drogi te małe stronnictwa i grupki, postawił kandydatury siedmiu rządowych Serbów, a z narodowych kandydatów nie przepuścił ani jednego.

W obecnej chwili półmilionowa ludność serbska rozpada się na pięć stronnictw:

1. Narodowe stronnictwo wolnomyślne, względem władzy opozycyjne, idące ręka w rękę z chorwacko-serbską koalicyą. Organem ich jest *Branik*.

2. Stronnictwo radykalne, opozycyjne, anty-wiedeńskie, anty-słowiańskie, anty-narodowe, kokietujące z kossutyzmem i justhyzmem. Organ *Zastava*.

3. Stronnictwo „narodowe“, łączące secesyonistów z partyi radykalnej. Jego organ *Srpstvo*, wychodzi od Nowego roku codziennie, tak, że Serbowie na Węgrzech mają teraz trzy dzienniki. Polityka tego stronnictwa skłania się do oportunizmu i utrzymuje przyjacielskie stosunki – nie z samym rządem, ale z nowosadskim posłem rządowym.

Demokraci dzielą się obecnie na dwie główne grupy:

4. Kikindska grupa (organ *Srpski Glas*) jest czcicielką budzyńskiej ligi powszechnego prawa wyborczego i nieraz cieszy się w swym organie, że na czele tego ruchu stoi baron Banffy.

5. Druga, zomborska demokratyczna grupa (organ *Sloga*) kroczy po tych samych ścieżkach, co nowosadska partya narodowa.

Jak się zachowywały te różne grupy w czasie wyborów sejmowych, przykro wspominać. Tak n. p. w Kulpinie przeciw narodowemu kandydatowi wystąpili dwaj inni Serbowie: jeden rządowiec, a drugi radykał. I kiedy serbskie narodowe partye i partyjki kłóciły się z sobą o swoje programiki, a nawet osobiste urazy — rządowi kandydaci zdobyli wszystkie okręgi wyborcze.

Pod tym wpływem zmieniły się stosunki w parlamencie. Dawniej „klub narodowców" liczył 25 posłów, między tymi zrazu trzech, a w końcu jednego Serba. Dziś liczy on zaledwie 8 posłów: pięciu Rumunów, Słowaków trzech, Serba ani jednego; jest też wobec rządu bezsilnym.

Serbowie, nietylko że sami solidarnie nie postępują, ale także nie utrzymują żadnych stosunków ze Słowakami i Rumunami. Wszelkie zaś próby skoncentrowania stronnictw serbskich nie doprowadziły do żadnych rezultatów. *ek.*

Wychodzący w Belgradzie tygodnik *Slovenski Jug* — redagowany bardzo poważnie — wystąpił w Nrze 51 w artykule: Grješke kojih ne smije biti (Grzechy, których być nie powinno) ostro przeciw szowinizmowi serbskiemu, głoszącemu bezmyślnie „poserbljivanje" Chorwatów. Idea jugosłowiańska postąpiła raźno w ostatnem dziesięcioleciu. Na pierwszem miejscu stoi tu zjednoczenie narodowe serbochorwackie; poczyniło ono znaczne postępy, ale są jeszcze po jednej i drugiej stronie grzeszki liczne i wielorakie. „Gdybyśmy chcieli mówić o wszystkich zawiodłoby nas to daleko". Niektóre pochodzą ze złej woli, ale są i takie, które wcale nie są celowemi, lecz rodzą się z nieoględności, z tradycyi, z pewnych nawyczek, z próżności itd. „Grzeszki" serskie nie pochodzą z żadnego obmyślonego planu antychorwackiego, tylko z nieroztropności i z naiwnego rodzaju patryotyzmu, który jest przeżytkiem jeszcze z doby, kiedy się opiewało jatagany. Naiwnością jest wyliczanie sobie „ziem serbskich" aż po Istryę z Tryestem włącznie (sic!), ale bo też dzisiaj śmieją się rozumni Serbowie z takiego „patryotyzmu". A jednak nowy kalendarz Kola Srbskich Sestara p. t. „Vardar" zawiera na samem czele artykuł „Srpske zemlje", w którym „paradują znowu i Chorwacya i Dalmacya i Istrya, jako ziemie wyłącznie serbskie, bez wzmianki o tem, że są one i chorwackie". Z rozmów z członkami Kola przekonali się redaktorowie *Sl. Juga*, że nie było w tem zgoła żadnej tendencyi antychorwackiej, tylko nieopatrzność. „Chorwacya i Dalmacya są ziemiami także serbskiemi, boć są w nich i Serbowie, ale przedewszystkiem i bardziej są chorwackiemi". Nieoględności takie dają tylko broń w rękę przeciwnikom jedności narodowej serbo-chorwackiej. „Chorwacya, Dalmacya i Istrya winny nam być drogie też, jako chorwackie ziemie. Skoro są chorwackie, są i naszemi serbskiemi. Chorwaci i Serbowie — to jedno. Trzeba zawsze tak mówić i pisać". Ale nie wolno Chorwatów ignorować, jako takich. „Ażeby mieć prawo ganić tych,

którzy grzeszą po stronie chorwackiej przeciw idei jedności, trzeba to wpierw ganić u siebie. Dawajmy, dobry przykład. W oku naszego brata może być i tram, ale zanim się go uczepimy, wyjmijmy ze swego oka — choćby tylko cierń. Takie tylko postępowanie może być godnem Serbii i trzech milionów jej obywateli, którzy żyją w niej, wolnej i pomnej swego zadania — jako czyniącej pokój, a mającej skupić rozdzielone i otoczone nieprzyjaciółmi plemiona serbskie i chorwackie. O tem nigdy nie zapominajmy“. *k.*

Wedle konstytucyi **bułgarskiej** wszelkie zmiany w niej mogą być dokonane tylko przez Wielki Sejm (Weliko Narodno Sobranje) zwołany ad hoc w Tyrnowie. Inicyatywa wszakże i sformułowanie tych zmian przysługuje wyłącznie zwykłemu Sejmowi, i Wielki Sejm niema prawa ich zmieniać, jeno — bardziej jeszcze niż f e t w a turecka Szeich ul islama — przyjąć lub odrzucić. Świeżo zakończona sesya sejmowa, obok spraw drobniejszych i sądu nad stambułowistami — miała za zadanie postawienie i sformułowanie zmian dla przyszłego Wielkiego Sejmu, a więc:

ogłoszenie księstwa królestwem (carstwem) i zamiast księcia przyjęcie tytułu króla (cara) dla panującego;

zamiast dotychczasowej 5-cioletniej — 4-letnia kadencya sejmowa;

ustanowienie nowego ministerstwa zdrowia publicznego;

możność zawierania z obcemi mocarstwami traktatów przez panującego za zgodą całego gabinetu i jego podpisem;

uchylenie możności ustanawiania nadzwyczajnych sądów wojennych dla obywateli kraju.

Była mowa o urządzeniu też ministerstwa bez teki do wyłącznego rozporządzenia króla, tudzież o potrzebie wyraźnej uchwały ustalenia wieczystości panowania dynastyi Koburgów w kraju, — ale obu tych kwestyi zaniechano.

Co do ministrów poprzedniego gabinetu ze stronnictwa stambułowistów, jednego — dra S z y s z m a n o w a — zwolnił sejm od wszelkiej odpowiedzialności, a drugiego — P a j a k o w a — sam Pan Bóg; idąc do sali posiedzeń sejmu dla wytłumaczenia się — padł w przedsionku rażony apopleksyą. Pozostali, zwolnieni od zarzutu naruszenia konstytucyi, oddani zostali uchwałą sejmową pod sąd państwowy za sprzeniewierzenie funduszów publicznych. Co do pp. G u d e w a i C h a ł a c z e w a zachodzi większe prawdopodobieństwo osądzenia i skazania, co do jenerałów S a w o w a i P e t r o w a — mniejsze, nie mówiąc o tem, że w razie skazania wszyscy mają być ułaskawieni przez monarchę za gorliwą mu służbę. Na Dworze noszono się z myślą wywołania przesilenia ministeryalnego i powołania takiego gabinetu, któryby odpowiedniemi wyborami do sejmu unicestwił możność oskarżenia tych wiernych sług i zabiegi zrujnowania całego stronnictwa; ale gdy na tym punkcie solidaryzują się stronnictwa opozycyjne z gabinetem, tenże został panem sytuacyi i od niego też zależy termin zwołania Wielkiego Sejmu. *—g.*

KRONIKA.

† **Maryan Sokołowski,** twórca naszego Klubu Słowiańskiego, zmarł w Krakowie dnia 25 marca 1911 r.

Urodzony dnia 13 stycznia 1839 w Czyżewie Kościelnym w Królestwie Polskiem (gub. łomżyńska), uczęszczał do gimnazyum w Warszawie, poczem studyował historyę sztuki w Paryżu, Heidelberdze i Wiedniu, w podróżach po Włoszech, Grecyi i Wschodzie. W r. 1877 promował się w Krakowie na doktora filozofii, w następnym roku habilitował się, w r. 1882 został profesorem nadzwyczajnym, w r. 1888 zwyczajnym. Był od dawnych lat członkiem czynnym krakowskiej Akademii Umiejętności, a przewodniczącym jej Komisyi do badań nad historyą sztuki w Polsce.

Był też dyrektorem Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, przewodniczącym Grona Konserwatorów na Galicyę zachodnią, członkiem Komitetu Muzeum Narodowego i Komitetu restauracyi Wawelu. Petersburska i praska Akademie Uumiejętności zaliczyły go w poczet swych członków, i wiele jeszcze innych specyalnych stowarzyszeń naukowych. Odznaczony był odznaką „Litteris et artibus“, był też kawalerem i komandorem kilku orderów.

Taką była zewnętrzna szata jego życia. Po długich, mozolnych przygotowaniach młodości doznał w wieku męskim powodzenia, które go później już nie opuszczało. Był faber suae fortunae. Należał do ludzi, którzy umieją z losem walczyć i wygrywają dzięki wytrwałości, hartowi, systematyczności.

Śp. Maryan Sokołowski odznaczał się niesłychaną pracowitością. Pracę jego nazwać można zaiste żelazną. Niechwytała się jej nigdy rdza — nie było w niej szczerb, luk, wahań. Pracował zawsze, dnia każdego i o każdej dnia porze. Toteż dorobek tej pracy ogromny. Bibliografia tytułów jego publikacyj przekracza setkę — a nie było żadnej pracy nieprzydatnej.

Zdolności jego skreślić można jako talent zorganizowany. Ogarniał umysłem całokształt historyi sztuki, a gdy zajęty był którem z kółeczek rozległego aparatu naukowego, miał zawsze na myśli celowość każdej pracy, choćby najbardziej drobiazgowej i przydatność jej dla całości i miejsce jej w tej całości. Posiadał zaś obok tego talent organizacyjny, który w połączeniu z ogromnem poczuciem obywatelskiem sprawił, że to, co pisał i drukiem ogłaszał, jest dopiero połową jego działalności. Wszak on to zorganizował w Polsce studya nad naszą przeszłością artystyczną, on wychował i skupił pracowników. Jego zasługą wytworzył się systematyczny ruch naukowy w Polsce w tej dziedzinie, on ludzi wyuczał, zachęcał, ustawiał na posterunkach przy warstacie naukowym.

Podziwiać trzeba było jego pomysłowość, przedsiębiorczość, ruchliwość, zapobiegliwość. Sam pogrążony w pracy nieustannej, pamiętał o pracach całego młodszego pokolenia uczonych tej dziedziny nauki i — o każdym zabytku, wymagającym opieki, o każdem odkryciu, choćby drugorzędnem i to nie w granicach swego okręgu konserwatorskiego, lecz na całym obszarze Rzpltej.

Sam przyczyniał sobie w ten sposób zajęć bez końca, jakby celem tego życia było obarczenie się do jak najwyższego stopnia.

Tego nie wytłumaczą już ani zdolności, ani pracowitość sama. To był zapał, którego źródło w sercu. I tu przedstawia się nam druga połowa tego niepospolitego Męża.

On duchem nigdy się nie starzał. Wiara w Ideały i zapał święty pozostały w nim do końca. Tchnienie młodości pozostało u niego niewyziębione. Ileż razy dodawał otuchy i dobrej myśli młodszym od siebie!

Przez naukę służył Polsce, a służył jej miłością czynną, twórczą. Dokądkolwiek się zwrócił, wszędzie powołał coś do życia, wszędzie wyrastało po nim jakieś dzieło, jakieś zajęcie i przybywał jakiś nowy miłośnik pomników przeszłości, zaciągnięty w szeregi przez werbownika nauki polskiej.

Dwa znaczne dzieła zawdzięczają jemu nietylko pierwszą pobudkę, ale

powstanie i pierwszy rozwój: Instytut do historyi sztuki w Uniwersytecie Jagiellońskim i Dom Matejki. Tych jest założycielem. A był nadto członkiem pierwszego Komitetu, urządzającego Muzeum Narodowe i pozostał w Komitecie muzealnym do końca. Podobnież w Komitecie restauracyi Wawelu. Był zresztą czynnym zawsze i wszędzie, gdzie tylko chodziło o sprawę publiczną związaną w jakimkolwiek związku z historyą sztuki. On tę historyę sztuki nietylko badał, wykładał, pisał — on ją też robił.

Jedna strona jego znaną była tylko tym, którzy mieli sposobność bliżej z nim obcować. Ten historyk sztuki interesował się wielce życiem publicznem w Polsce, ogarniał je doskonale swym umysłem krytycznym, miał przekonania głębokie i wybitne, ściśle określone zapatrywania. Czynnego udziału w życiu publicznem nie brał, osoby swojej w tym kierunku nigdy nie wysuwał — a jednak zostaje po nim i na tem polu ślad.

Śp. Maryan Sokołowski pierwszy wśród starszego pokolenia stał się zdecydowanym słowianofilem, innych do tego prądu pozyskiwał i pobudzał, żeby z hasłem tem wystąpić publicznie. On też pierwszy w Krakowie zerwał z bezmyślnem madiarofilstwem i żądał rewizyi stosunku naszego do Madiarów. Początki pewnych konkretnych zamysłów w tym względzie sięgają roku 1899. Sześćdziesięcioletni wówczas śp. Maryan Sokołowski dawał inicyatywę. Nie spuszczając tej sprawy z oka, przygotowywał zwolna grunt w ten sposób, ażeby sprawie nadać cechę jak najpoważniejszą, żeby słowianofilstwo polskie nie zeszło na szermierkę frazesami. Znalazłszy wśród młodszych w profesorze Maryanie Zdziechowskim tego, który mógł stanąć skutecznie na czele ruchu, zabrał się wraz z nim do założenia w grudniu 1901 r. Klubu Słowiańskiego. A nie spoczął na tem. On był tym, który parł do założenia pisma słowianofilskiego, żeby Klub miał swój organ. Młodsi mieli dużo wątpliwości, a on powtarzał, że założenie pisma jest „koniecznością“.

On powagą swą i przykładem wytworzył tę atmosferę, wśród której założenie Klubu Słowiańskiego, a następnie *Swiata Słowiańskiego*, stało się możliwem.

Do licznych wieńców, złożonych na trumnie zasłużonego Męża dołączyliśmy wieniec z napisem:

„Klub Słowiański — swemu twórcy“.

W posiedzeniach naszych brał udział do ostatka, w dyskusyach biorąc żywy udział — uwagom jego wiele zawdzięczamy.

Cześć pamięci znakomitego uczonego, zasłużonego obywatela, a Nestora wznowionego słowianofilstwa polskiego!

(*h*) *Ruska kronika.*

Jubileusz 50-tej rocznicy śmierci wielkiego pieśniarza Ukrainy, Tarasa Szewczenki, święciła cała Ruś uroczyście dnia 11 marca (26 lutego st. st.). Tylko Kijów — matka Ukrainy — był smutny. Rząd rosyjski skonfiskował „Kobzara“, a nawet kantatę Łysenki, napisaną do słów Syweńskiego: „Umer poet i struni zołotyi porwali sia“. Komitetowi, który urządzał jubileusz, postawił takie warunki, że musiał się zrzec uroczystości... Oby Ukraina zrozumiała to memento, na chwałę T. Szewczenki, który do ciepłej, życiodajnej, twórczej kultury Zachodu tęsknił!...

Jubileusz rozpoczął się rozstrzygnięciem konkursu na pomnik Szewczenki, który ma stanąć w Kijowie (niestety, niewiadomo jeszcze gdzie, gdyż rząd i tu stawia przeszkody). Z nadesłanych 45 projektów pierwszej nagrody nie przyznano żadnemu. II. nagrodę (1000 rb.) otrzymał Baławeński, III. M. Hawryłko. Między odznaczonemi jest projekt Polaka — Bolesława Jeziorańskiego z Warszawy. Koszta wystawienia pomnika (projekt Baławeńskiego) wynosić będą 100 tysięcy rb. Zebrano już przeszło 80 tysięcy rb.

Dnia 27. lutego st. st. otwarto w kijowskiem muzeum miejskiem wystawę artystycznych dzieł Szewczenki w liczbie 25 oryginalnych obrazów.

Cesarska Akademia Nauk w Petersburgu uczciła pamięć T. Szewczenki uroczystem posiedzeniem. Prze-

wodniczył czł. akad. Szachmatow. Odczytano trzy referaty: czł. akad. Owsianiko-Kulikowskiego i docenta Sławińskiego i Żyteckiego. Sławinskij nazwał Szewczenkę „twórcą nacyonalnej fizyonomii narodu ukraińskiego".

Jeszcze wspanialej uczciła Kobzarza Ukrainy Ces. Akademia sztuk pięknych w Petersburgu. W komnacie, w której umarł Szewczenko, wmurowano kosztem Akademii w ścianę marmurową tablicę z napisem:

„Tu mieszkał i skonał Taras, syn Grzegorza, Szewczenko. 25. lutego 1814 r. — 26 lutego 1861 r."

Przed tablicą pamiątkową umieszczono biust Szewczenki dłuta rektora Akademii, prof. Beklemeszewa.

W sam dzień rocznicy zgonu na mogile T. Szewczenki w Kanewie odprawiono „panichidę". Nielicznie zgromadzona inteligencya ukraińska była zgorszona tem, że strażnicy odpędzali młodzież szkolną, która przyszła na mogiłę pieśniarza Ukrainy.

Wszystkie pisma ruskie w dniu jubileuszowym ukazały się w szatach uroczystych. *Rusłan* przewyższył wszystkie pisma bogactwem treści.

Uroczystości we Lwowie rozpoczęły się dnia 10. marca nalepkową iluminacyą i dekoracyą domów ruskich. Wieczorem tego samego dnia w sali filharmonii odbył się uroczysty koncert przy licznym udziale delegatów ze wszystkich stron Galicyi (byli obecni również korespondenci *Utra Rossii* i *Slavisches Tagblatt)*. — Entuzyastyczną mowę przywitalną wygłosił pos. Dr. K. Lewicki. W niedzielę 12. marca odbyła się w „Narodnym Domu" uroczysta Akademia, którą zagaił prof. Kołessa przemową na temat patryotycznych uczuć i świadomości narodowej w literaturze ruskiej przed Szewczenką i za Szewczenki. Następnie wygłosili referaty: 1) prof. Dr. Szczurat: „Związek twórczości Szewczenki z literaturą dawnej doby"; 2) Iwan Trusz: „Szewczenko jako malarz w literaturze"; 3) prof. Dr. Ludkiewicz: „Poezye Szewczenki w muzyce". — Po wygłoszeniu referatów, nastąpiło odczytanie pozdrowień i telegramów. Pierwsze pozdrowienie wygłosił pos. Pihulak w imieniu 220 bukowińskich towarzystw ruskich. Największy entuzyazm wywołało pozdrowienie obywateli-ukraińców z Kijowa!... Uroczystości jubileuszowe zakończyły się bankietem i koncertem w poniedziałek 13. marca.

Towarzystwo *Proświta* urządziło w dniu jubileuszowym we wszystkich miejscowych towarzystwach uroczyste odczyty, które ściągnęły niezwykle licznych słuchaczów.

„Silskij Hospodar" Towarzystwo gospodarcze z końcem 1910 roku liczyło 12.506 członków, 85 filij i 317 kółek gospodarczych. Towarzystwo już od roku wydaje swój własny organ *Hospodarska Czasopyś*, od 1 stycznia b. r. znacznie rozszerzony. Oprócz tego, wydało 9 broszur. Przy Towarzystwie istnieje 6 sekcyj dla prowadzenia fachowej działalności: prawno-ekonomiczna, techniczno-realna, hodowlana (rogacizny i nierogacizny), ogrodniczo-sadownicza, pasieczna i handlowa.

Sekcya gospodarczo-techniczna ma 25 filij, sadowniczo-ogrodowa 24 filie i 29 szkółek owocowych i wzorowych ogrodów, pasieczna 17 filij i 44 wzorowe pasieki.

Osobliwą uwagę zwróciło Towarzystwo na działalność handlową — i to w dwóch kierunkach: 1) w kierunku organizacyi importu potrzeb gospodarczych i 2) w kierunku kooperacyjnego eksportu produktów gospodarczych. Ministeryum rolnictwa wyasygnowało 4000 K zapomogi na czasopismo.

Ruski Uniwersytet ludowy „Towarzystwo ukraińskich wykładów naukowych im. Piotra Mohyły", założony w r. 1907 przez Dra A. Kołessę, urządził w ubiegłym roku 199 wykładów (108 prelegentów), na które uczęszczało przeciętnie po 90 słuchaczów, razem 22.865 sł. Największą frekwencyą cieszyły się wykłady we Lwowie (72 wykł., 6.180 sł.), w Przemyślu (27 wykł., 6.400 sł.), w Stanisławowie (37 wykł., 4265 sł.). Dochód wynosił 1.325 K., rozchód 1.048 K. Biblioteka liczy 2.500 dzieł (przeszło 3.000 tomów).

Statystyka kooperacyi wiejskiej za kordonem. Ogólna liczba wiejskich kooperacyjnych Towarzystw

w 10 guberniach ruskich w r. 1911 wynosi: 1.667 spożywczych, 1.252 pożyczkowych, 483 pożyczkowo-oszczędnościowych, 361 wiejsko-gospodarczych — razem 3.763 towarzystw. *Rada,* która tę statystykę podaje, twierdzi, że — uwzględniwszy minimum 200—300 towarzystw, o których niema dokładnych informacyj, ogólna liczba spółek kooperacyjnych dosięga pokaźnej cyfry 4.000. W porównaniu z r. 1909 utworzyło się w r. 1910 o 161 towarzystw mniej. Lecz za to istniejące towarzystwa z roku na rok doskonalą się jakościowo. Oprócz wymienionych, istnieje jeszcze 5 bartniczych, 2 sadownicze, 2 mleczarskie i 3 młynarskie towarzystwa.

Konkurs dramatyczny Wydziału krajowego na utwory ruskie został już rozstrzygnięty. Na konkurs nadesłano 16 utworów. Pierwszą nagrodę (700 Kor.) przyznano p. Paczowskiemu za dramat historyczny p. t. „Słońce Ruin“, drugą nagrodę (500 K) p. Janowskiej (z rosyjskiego kordonu) za dramat „Ofiary“, trzecią nagrodę (300 K) p. Nikoliszynowi. Zakwalifikowano do grania, zwłaszcza ns scenie teatru ludowego, 4-aktowy dramat „Bezsudna zemla“. Niezwykle mała liczba nadesłanych na konkurs utworów tłomaczy się tem, że wiele sztuk odrzucono już na poprzednim, odroczonym, konkursie.

(k) **Uposażenie dwóch obrządków w Galicyi**. Lwowska *Gazeta Kościelna* ogłosiła zestawienie na podstawie budżetu austryackiego na rok 1911, ile pobiera z funduszu religijnego obrządek łaciński w Galicyi, a ile grecko katolicki. Wypada mianowicie na dyecezyę łacińską (polską) lwowską 460.201 K., na krakowską 419.277 K., na przemyską 509.625 K i na tarnowską 423.693 K. czyli ogółem 1,812.796 K, a razem już z ormiańską archidyecezyą lwowską 1,823.535 K. Grecko katolickie (ruskie) zaś dyecezye mają następujące uposażenie z państwowego funduszu religijnego: lwowska 1,328.933 kor., przemyska 1,175.853 kor., a stanisławowska 789.572 kor., co razem czyni 3,294.358 kor. Dopłata do kongruy wynosi na obrządek łaciński 1.242.717 kor., a na grecko-katolicki 2,972.460 koron. Cyfry te mówią wyraźnie, jak „pokrzywdzoną“ jest cerkiew ruska w Galicyi. Niesłychane uprzywilejowanie jej uwydatni się tem jaskrawiej, gdy się zważy, że trzy największe dyecezye w Austryi: praska, litomierzycka i ołomuniecka pobierają razem tytułem dopłat do kongruy 2,228.767 koron.

Czeska kronika.

Sześćdziesięciolecie prof. Brafa. W Czechach jest zwyczaj, że obchodzi się 50-tą rocznicę urodzin (co nazywają „abrahamowiny“), a potem każda następną dziesiątkę wieku swego. Te „automatyczne“ jubileusze znajdują u osób wybitniejszych oddźwięk w prasie, a u szczególniej zasłużonych łączą się objawami uznania i hołdu, składanymi przez całe społeczeństwo.

Dnia 27 lutego 1911 r. kończył 60 rok wieku swego profesor Albin Braf, zięć Riegra, były profesor ekonomii politycznej w uniwersytecie czeskim, były minister rolnictwa (r. 1909).

Nazwisko jego nie miało nigdy popularności dziennikarskiej; należy za to do historyi narodu czeskiego o wiele bardziej, niż szumno rozgłośne nazwiska Gregrów, czy z chwili obecnej Kramařa lub Masaryka. Braf o popularność nie dbał; pozostał do dziś dnia staroczechem i katolikiem (rzecz w Czechach nader rzadka!). Nie dbał o to, czy wyda się dość „postępowym“, a w murach uniwersytetu kierował się „staroświecką“ zasadą, że profesorowie mają kierować studentami, a nie studenci profesorami.

Braf posiada ze wszystkich współczesnych Czechów najwięcej odwagi cywilnej i jest najbardziej indywidualnym. Nigdy nie dbał o to, co o nim powiedzą. A ma zarazem tyle za sobą zasług publicznych, że chociaż poróżniony jest z całą niemal prasą i jest przeciwnikiem wszystkich bez wyjątku stronnictw, mających dziś wpływy w Czechach, jednakże żaden z nich nie śmiał zignorować dnia jego 60 urodzin. Pokryto tylko starannem milczeniem jego staroczeskie i katolickie przekonania.

Teoretyczna i praktyczna działalność Albina Brafa wycisnęła głębokie ślady na czeskiem życiu eko

nomicznem. Z jego szkoły wyszli wszyscy dzisiejsi czescy uczeni ekonomiści i cały szereg przednich pracowników w bankach, w instytucyach rolniczych i przemysłowych. Z jego imieniem łączy się założenie Banku Krajowego czeskiego (Zemská Banka), krajowego biura statystycznego i krajowego funduszu ubezpieczeń. Z jego inicyatywy powstał przy czeskiej Akademii Umiejętności instytut ekonomiczny (ustav narodohospodářsky). On dokonał dzieła odrodzenia gospodarczego Czech, on był tej sprawy i teoretykiem i praktycznym kierownikiem zarazem. U uczniów swych kładł zawsze silny nacisk na teoryę. Rozbudzał w nich zajęcie nietylko do spraw ekonomicznych i politycznych, ale wymagał głębszego humanitarnego wykształcenia, a szczególniej zachęcał przyszłych ekonomistów do studyów filozoficznych. W wykładach poświęcał jak najwięcej czasu problemom metodologii ekonomicznej. Działalność jego cała była celowo obmyślana dzięki głębokiemu podkładowi teoretycznemu — a budząca podziw systematyczność w rozwoju czeskiego gospodarstwa społecznego pochodzi stąd, że Braf przelał w swych uczniów zamiłowanie do naukowej strony ekonomii, do teoretycznego jej zgłębienia. Dlatego w czeskim rozwoju ekonomicznym niema nic przygodnego; wszystko tam jest świadomie robione. Uczniowie Brafa wzięli to po swym mistrzu.

Braf bywał też posłem i członkiem Wydziału krajowego. Pozyskał sobie wybitne zasługi około uregulowania całego aparatu władz autonomicznych. Zajmował się też teoretycznie stosunkami autonomii do władzy centralnej rządowej i wydał (wspólnie ze ś. p. Bogusławem Riegerem, synem Franciszka) „Idea a skutečnost' ve samosprávě“ (idea samorządu a jej rzeczywistość). Słynne też są jego „Listy politického kacíře“ (listy kacerza politycznego), które nie należą do lektury zalecanej przez prasę jakiegokolwiek obozu i nikt im nie zrobił reklamy — ale które długo jeszcze czytać będzie musiał każdy Czech, pragnący nabyć zdolności krytycznej do życia publicznego i zmysłu politycznego.

Braf rzucił za młodu hasło, że naród czeski nie utrzyma się, jeżeli sobie nie zapewni niezawisłości ekonomicznej — a dziś mógł się o nim wyrazić profesor Gruber w odczycie na posiedzeniu instytutu ekonomicznego, że Braf dokończył dzieło, rozpoczęte i prowadzone przez Dobrowskiego, Jungmanna, Palackiego, Riegra. I jest w tem zupełna prawda.

Możnaby powiedzieć o Brafie jeszcze coś więcej: on wpłynął na ostateczne ustalenie charakteru narodowego Czechów. Psychę dzisiejszego i jutrzejszego Czecha uformował Albin Braf!

Z rozprawy jego „O novém buditelství kněžském“ wyjmujemy dwa cytaty:

„U kolebki naszego odrodzenia narodowego stał wszędzie na przodowniczych miejscach ksiądz. Cóż mogło nadawać się też bardziej do nauki ewangelicznej o miłości względem cierpiących, o wspomożeniu ubogich, niż to misyonarstwo odrodzenia, podnoszące uciśnionych i ginących pociechami nadziei. Zbyt niewiele nazwisk ich dochowało się nam. Gdziekolwiek ze starych zapisek lub z opowiadań dawnych pamiętników padnie nowe jakieś światło na jaki niewyjaśniony dotychczas kąt naszych nowszych dziejów, wszędzie spotkamy się z postaciami patryotycznych księży budzicieli“....

„Po czasach czysto literackiej działalności, przygotowującej podstawy, nastała doba przebudzenia politycznego i organizowania ludu. Ani przy tem nie brakło czeskiego księdza w pierwszych szeregach, chociaż napotykał często przeszkody nie mniejsze, niż przedtem. Ci z pośród nas, którzy sami mogą mieć w pamięci z młodych swych lat ruch, jaki zapanował w siódmem dziesięcioleciu (XIX w.), nie zapomną postaci księży parafialnych, kroczących na czele wyborców do urny“...

Jeszcze o „Rękopisy“. Oto odzywa się jeszcze echo r. 1866/7, słynnego w dziejach kultury czeskiej „boju“ o autentyczność słynnych „Rękopisów“, podsuniętych w okresie „budzenia narodu“, ażeby reprezentowały starożytność poezyi narodowej.

Przed kilkoma tygodniami dwaj patryoci starego autoramentu przesłali do Zarządu Muzeum Królestwa czesskiego papiery wartościowe na sumę 4.000 K z następującem pismem:

„Rok 1917 będzie setną rocznicą znalezienia rękopisu Zielonogórskiego, który w dziejach naszego odrodzenia narodowego odegrał tak ważną rolę. Jako wychowańcy tej właśnie doby, żałujemy wielce, że ów najpiękniejszy pomnik czeskiej poezyi został przez młodą szkołę naukową wykluczony, jak ze starej tak i z młodej literatury czeskiej, chociaż Rękopisy nigdy nie były kategorycznie przez znawców paleografów zakwestyonowane, podczas gdy prawdziwość ich wytrzymała dwie próby chemiczne. Nie stało już bardzo wielu z tych, którzy nigdy ani na chwilę nie tracili wiary w autentyczność Rękopisów, a między nimi był przedewszystkiem niedawno zmarły J. Hlávka; on również zamierzał ofiarować pewną kwotę, aby w setną rocznicę znalezienia przeprowadzoną została rehabilitacya „Rękopisów". Ażeby zamiaru, o którym zmarły jeszcze na łożu śmiertelnem kilkakrotnie wspominał, nie poniechano, przeznaczamy jako czciciele wzniosłych celów narodowych, sumę w kwocie 4.000 K na obronę Rękopisów:

1) aby przeprowadzić przegląd formalny i rzeczowy sporu;

2) aby przytoczono zdania znawców rękopisów, jako takich (paleograficznie etc.), i rzeczowo streszczono wyniki dwukrotnych badań chemicznych;

3) w pracy winne być wyszczególnione wszelkie wzmianki i artykuły filologiczne, historyczne i inne, obalające prawdziwość Rękopisów z równoległem zaznaczeniem zdań przeciwnych i obronnych w porządku abecadłowym (encyklopedycznie);

4) zreasumowanie wyników obrony i próba odparcia niezbitych jeszcze zarzutów.

Termin podania powyższej pracy w obronie Rękopisów trwa do 30 czerwca 1915 r. Adres, pod którym mają być zasyłane prace, będzie w odpowiednim czasie ogłoszony".

A więc są jeszcze tacy, którzy chcieliby ocalić zabytek, łudzą się, że istniejące dowody nie są dość ważkie, a w każdym razie pragną ostatecznego rozwiązania sporu i... swych iluzyi. I nie dziw, że wiarę w prawdziwość Rękopisów tak trudno zachwiać. Odegrały one tak doniosłą pod każdym względem rolę, że demaskowanie ich wywołało doprawdy „bój", bój nietylko filologiczny i literacki, lub historyczno-naukowy, lecz wielki ferment, a nawet zmianę w ugrupowaniu się prądów i kierunków społecznych.

Przeciwko Rękopisom wystąpili profesorowie uniwersytetu, na przeciwnym szańcu stanęła prasa w imię patryotyzmu; wiara ogółu chciała odeprzeć dowody uczonych. Kiedy Czesi pozyskali własny uniwersytet, zażądano kategorycznie rewizyi RK, i wtenczas po raz pierwszy rzucono publicznie protest przeciwko prawdziwości zabytków. Nie posiadano wcześniej odpowiedniej ku temu odwagi, brakowało własnego kompetentnego forum, z któregoby można było śmiało rzucić rękawicę złudzeniu. Na posterunku takim, jakim był uniwersytet, pociski rzucane w rodzaju „zdrady", „zaprzedania się Niemcom i Wiedniowi" itp. mogły być jeno szmermelem dziennikarskim; sami dziennikarze nie wierzyli oczywiście w to, co pisali.

„Bój" nie powstał niespodzianie; zapowiadał się oddawna. Już J. Dobrovský pierwszy powątpiewał o prawdziwości znalezionych rękopisów; dalej coraz częściej odzywały się głosy, rzucające cień podejrzenia.

W r. 1857 w liście do prof. Pogodina pisze Šafařik o komisyi Muzeum, która zakwestyonowała autentyczność dwóch znalezionych zabytków piśmiennictwa staroczeskiego („Piseň na Vyšehrad" i Milostná piseň Krále Václava"). „Komisya będzie pracowała w dalszym ciągu — pisze on — i zapewne przepadnie jeszcze kilka innych zabytków, o których mniemano, że są stare. Lecz o tem należy milczeć, dopóki komisya nie ogłosi wyników swych badań". Niewątpliwie, mówiąc o „kilku innych" zabytkach, ma na myśli Šafařik RK. V. Nebeský w r. 1859 pisze anonimowe artykuły; w r. 1879 prof. Šembera, a na rok przed wystąpieniem Gebauera i zbiorową filipiką prof. J. Vlček w „Přehledě dějin

literatury české", poprzedzają stanowczy „bój".

Że ciężko było zdobyć się na ostateczny krok oficyalnego protestu, dowodzą najlepiej słowa Gebauera, bezpośredniego inicyatora „boju": Rękopisy Královédvorský i Zelenohorský poczytałem za stare i prawdziwe. Z pilnością przestudyowałem, co o nich gdziekolwiekbądź pisano, i starałem się przyczynić do wyświetlenia wątpliwości; było to moim obowiązkiem... Znalazłem wyświetlenie i objaśnienie wielu kwestyi. Najchętniej chciałem był znaleźć dowody, że oba teksty są w zupełności prawdziwe; niestety, otwierały się przedemną coraz to nowsze wskaźniki, które budziły wątpliwości. Nie jestem w stanie wyrazić, do jakiego stopnia wprowadzały mię w zakłopotanie odkrycia, jak one mię zasmucały. Było to zupełnie przeciwne mym zamiarom i życzeniom; burzyłem, co dotychczas poczytałem za prawdziwe i o czem chciałem się tembardziej upewnić. Boć przychodziło mi na myśl, że z czasem trzeba będzie podać sprawę do wiadomości publicznej — jest to obowiązkiem naukowym i obywatelskim, lecz obowiązkiem ciężkim i bolesnym". (*Atheneum* 1886).

Przewidywano też, jak społeczeństwo przyjmie niepożądane wystąpienie z protestem. „Opět kaceřovati budou vašně" pisze do Gebauera prof. Masaryk, który stanął na czele rzekomych „zdrajców". Gebauer również wiedział, jakie gromy i napaści na się sprowadza; był jednak szczery w swej pracy naukowej. Chcąc wydać swe „Słowniki" i „Gramatykę historyczną", nie mógł pominąć tak ważnych zabytków. W liście do swego przyjaciela prof. Alberta powiada: „Kiedy zbliżałem się do wydania całkowitych prac, kwestya RK stawała się uciążliwą; musiałem ją rozstrzygnąć przedtem, zanim cokolwiekbądź wydałbym, albowiem stawała mi ta kwestya na przeszkodzie, czy to w „Słowniku", czy „Gramatyce" lub „Literaturze". Wyjaśniono sprawę i Rękopisy padły. Lecz według mniemania wierzących w Rękopisy i ja „padłem" ze swemi pracami, które dotychczas witane były i uznawane, obecnie zaś stały się „kiepskie" i „zdradzieckie". (List ten podaje J. Herben w broszurze: „Boj o podvržene rukopisy", str. 16).

Wiemy, jak długo opinia nie mogła przebaczyć uczonemu śmiałego wypowiedzenia opinii, pomimo, że ją poparł gruntownem zbadaniem rękopisów i ścisłem stwierdzeniem słuszności swych zarzutów. Dzieła jego czekały długo na wydawcę, bojkotowano je. To najlepszy dowód, jak broniono swego sanktuaryum, jak chciano zażegnać publiczne zdemaskowanie falsyfikatów.

Trudno jednak już było wystąpienie Gebauera i jego sprzymierzeńców odeprzeć tak, jak to udawało się wcześniej. Wątpliwościom Dobrovskiego przeciwstawiono niegdyś obronę przez Palackiego i Jungmana. Rewelacye Šembery stłumiono licznymi głosy (J. Jireček: „O nejnovějších námitkách proti pravosti našich starých památek" r. 1878), a nawet potępiono go, zarzucając tajne konszachty z rządem. Nie wolno było pod karą wyklęcia ze społeczeństwa wchodzić do świątyni z nieufnością. „Każdy Czech musi i może być dumny" z piękna i starożytności poezyi czeskiej, twierdzi V. Brand w obronnej, przeciw zarzutom Šembery, broszurze („Libušin Soud" r. 1878). Starcia te jednak były jeszcze minimalne. Nikt nie odważa się postawić sprawy kategorycznie i otwarcie.

Z jaką zaciekłością rzucono się na uczonych w r. 1886, najlepiej widać to w zbiorku artykułów J. Grégra: „(Na obranu Rukopisu Královédvorského a Zelenohorského" r. 1886). „Żaden naród nie zniósłby, żeby na tak drogocenne zabytki jego starodawnego rozwoju kulturalnego, jakie nie każdy naród posiada, patrzano podejrzliwie w domu i na obczyźnie. Wszak nietylko nasi uczeni, lecz my wszyscy, cała inteligencya narodu, winniśmy bronić tych drogich pamiątek", woła on do opinii narodu. „Cały naród czeski i wpływowi patryoci walczyli przez pół wieku o utworzenie czeskiego uniwersytetu nie poto, żeby stał się on ośrodkiem szerzenia bierności narodowej i obozem, w którym organizują się zbiorowe wyprawy na

zohydzenie i zniszczenie najcenniejszych naszych pamiątek kulturalnych, żeby używano tu nauki w celu zatruwania uczucia patryotycznego w sercach młodzieży czeskiej, owej chluby i nadziei naszego narodu"; oto słowa, które najlepiej charakteryzują stanowisko ogółu, zajęte względem wystąpień uczonych. Uderzano w najczulszą stronę społeczeństwa. Wszak widzieliśmy, że toż samo uczucie dumy narodowej pchało Gebauera ku dokładnemu zbadaniu rękopisów. Nieporozumienie... sięgało ono jednak głębiej, a stało się tak ważnym czynnikiem w dziejach odrodzenia czeskiego.

Literatura dotycząca „boju" stanowi pokaźne archiwum, gdzie każdy badający odrodzenie czeskie znajdzie bardzo ciekawe i obfite przyczynki do rozwoju kultury tego narodu niemal w całym jej pochodzie. Toteż słusznie powiedziano, że „kiedykolwiekbądź historyk poszukiwać będzie zaczątków tworzenia się nowych prądów, dojdzie zawsze do „boiu" o Rękopisy". („Po 25 latach". *Čas* nr. 46 r. 1911.

W. R. Wegnerowicz.

Za najżarliwszego obrońcę autentyczności „Rękopisów" uważany był profesor Hattala. Zabierał w tej sprawie głos często i ogłosił cztery rozprawy na ten temat w *Osvětě*, w *Narodnich Listach*, w *Pokroku* i w *Politik*, w latach 1885—1886.

Kiedy „bój" zawrzał na ostre — Hattala zapowiadał, że wyda obszerne i gruntowne dzieło na obronę Rękopisów. W pismach pojawiały się też raz wraz wzmianki, że H. pracuje pilnie nad tak pożądanem patryotycznem dziełem, że książka w znacznej części gotowa, że niemal skończona, że już niebawem ujrzy światło dzienne. Ale nie wyszła! Hattala zmarł, a wraz z nim pogrzebano niedoszłą obronę Rękopisów. W spuściźnie profesora nie znaleziono nic. Świat naukowy uważał też już od dłuższego czasu Hattalową „Obronę" za legendę.

Zdarzyło się pewnego razu, że suplent gimnazyalny, zdający egzamin profesorski przed prof. Gebauerem, cytował ową „obronę". Gebauer zwrócił mu uwagę, że książka taka nie istnieje, a kandydat powiada na to, że sam Hattala pokazywał mu ją...

I zrobił się z dzieła Hattali rodzaj literackiego węża morskiego... Wszyscy o tej książce wiedzieli, czasem ktoś twierdził, że ją widział, a nie było dowodu, że istnieje...

W połowie marca rozwiązał zagadkę Dr. L. Niederle i rozwiązanie ogłosił w Nrze 78 *Narodnich Listów* w artykule p. t. „Kniha znamá, ale nevydaná". Okazuje się, że 25 arkuszy druku tego „dzieła" już złożono i „złamano". Ale co za rozczarowanie! Pierwszych 140 stronic druku zawiera prosty przedruk dawniejszych, przestarzałych czterech rozprawek. Rzecz bibliograficznie nowa znajduje się na stronicach 141—360, spisana jest po niemiecku i ma tytuł:

„Zusatz, welcher in der *Politik* vorzüglich deshalb nicht erschienen ist, weil man die Hoffnung hegen zu dürfen glaubte, dass es uns auch ohne dies gelingen werde, der darin verpönten Schmähsucht unserer Gegner Einhalt zu thun". Obszerny ten „dodatek" ma charakter ściśle polemiczny, rzeczowo nie wnosi do sporu żadnego nowego argumentu — i pochodzi też zapewne z dawniejszych czasów.

Koniec „Zusatzu" drukowany jest jeszcze tylko „na paskach", jako początek arkusza 26-go. Pasków tych już nie „łamano", czekając na dalszy rękopis, aż będzie cały arkusz druku — ale wydawca nie doczekał się tego. Profesor Hattala przestał tedy pisać w obronie Rękopisów wnet po roku 1886, a „Obrony" — jako nowej, osobnej, systematycznej książki, właściwie nigdy nie pisał. Nie chciał jednak pozbywać się glorioli „patryotycznego obrońcy"... Wydawca nie chwalił się przed nikim tak niefortunnie prowadzonem wydawnictwem, chował tylko w sekrecie wydrukowane już arkusze, czekając, czy jednak nie doczeka się dalszego ciągu. Czy i teraz jeszcze przechowuje tę makulaturę, nie wiadomo. Dr. Niederlemu udało się po długich staraniach pożyczyć od kogoś niewymienionego jeden egzemplarz niedoszłej „Obrony". Otrzymał go na rewers i za kaucyą, jako wielkie „cimelium".

„Książka znana, ale niewydana" —

to także ciekawy epizod „boju o Rękopisy".

Chorwacka kronika.

(j). **Ks. Jan Tombor.** Narodowością Słowak, urodził się ks. Tombor w Šolnie, komitacie trenczyńskim na Węgrzech 7 stycznia 1825 roku. Studyując teologię w Budapeszcie, zapoznał się z innymi Słowianami węgierskimi. W r. 1846, chcąc uniknąć prześladowania za to, że brał żywszy udział w słowackiem życiu narodowem, przeszedł do dyecezyi djakowarskiej, przyjęty przez biskupa Kukovića z polecenia głośnego Strossmayera.

W młodszych jeszcze latach napisał ks. Tombor kilka ładnych nowel, jak: „Narzeczona hajduka", „Twierdza na Dunaju", „Miłość na Wschodzie", „Odszczepieniec" i inne. Później pisywał o sprawach politycznych w serbskiem czasopiśmie *Slavenski Jug* i *Südslavische Zeitung*. Także mniejsze jego utwory poetyczne w czasie „illirskiego" odrodzenia drukowały: *Danica*, *Neven*, *Dragoljub*, beletrystyczne czasopisma chorwackie.

Od r. 1867 do 1878 w czasie t. zw. „rewizyi ugody chorwacko - węgierskiej" był ks. Tombor sekretarzem przy chorwackiej delegacyi w Budzyniu.

W ostatnich latach, usunąwszy się w zacisze swej parafii w Piszkorewcach w Slawonii, poświęcił wszystkie swe siły pracy dla dobra powierzonych sobie owieczek i zbawieniu własnej duszy. Zmarł dnia 30 stycznia 1911 r.

(*w*) **„Družstvo sv. Jeronima",** które na polu wydawniczem i oświatowem położyło wielkie zasługi, rozpowszechniło w ciągu ostatniego roku 120.000 egz. książek i 60.000 egz. organu swego *Danica*. Na rok 1911 uchwalono wydać książkę apologetycznej treści, powieść historyczną napisaną przez Milutina Mayera p. t. „Bedem kršćanstva", poradnik prawniczy i zbiorek opowiadań śp. J. Trnskiego w 35.000 egzemplarzach. „Družstvo" zwraca szczególną uwagę na zakładanie czytelń i bibliotek w kraju, toteż i w tym roku przeznaczyło znaczną ilość książek na owe cele.

Serbska kronika.

Društvo srbskih profesorjev postanowiło urządzić wycieczkę do Zagrzebia i Lublany podczas prawosławnych feryj wielkanocnych. Profesorowi II-go gimnazyum w Belgradzie, Živanovićovi, poruczono udać się przodem do tych miast, nawiązać stosunki i przygotować wszystko, co trzeba, do urządzenia wycieczki. Na zaproszenie serbskich profesorów mają się w Zagrzebiu przyłączyć do wycieczki chorwaccy i odwiedzić następnie razem Lublanę.

(w) **Przemysł w Serbii** znajduje się przeważnie w rękach czeskich i niemieckich. Niedawno stoczona „walka cukrownicza" wykazała, jak Niemcy usiłują wyprzeć z Serbii Czechów. Rząd niemiecki opiekuje się gorąco swymi obywatelami w Serbii i nieraz oficyalnie domaga się, żeby Serbia nie udzielała koncesyi przemysłowcom czeskim. Jeden z adwokatów serbskich dał się nawet skłonić do wydania broszury, wzywajac, żeby ułatwiać Niemcom szerzenie ich przemysłu w kraju. Odpowiedziano na to drugą broszurą, odpierającą natarczywość niemiecką. Autor wykazuje, że wtargnięcie Niemców w przemysł serbski sprowadzi natychmiast kolonizacyę, bez której przemysłowiec niemiecki nie obywa się nigdy. Założone gniazdo rozszerza się z niebywałą szybkością, a cały przemysł kraju przechodzi stopniowo w ręce niemieckie. Szczególniej dla Serbii jest to bardzo ważna sprawa, ażeby podnieść gospodarkę narodową. — Wprawdzie i Czesi będą konkurować z miejscowymi przemysłowcami, lecz trudno — trzeba uznać, że Niemiec posiada specyficzną i nieodłączną odeń cechę zalewania i przytłaczania, tam gdzie się zjawi, sił lokalnych. Z tego stanowiska wychodząc, autor broniący przemysłu czeskiego w Serbii, wzywa władze, aby odmówiono żądaniom Niemców, jeśli Serbia chce uniknąć na przyszłość przykrych konfliktów w gospodarstwie narodowem.

Bulgarska kronika.

(*g*) **Akademia Umiejętności** — o której projekcie donosiliśmy w zeszłym zeszycie — stała się już faktem. Przekształciło się w Akademię

stare bułgarskie Towarzystwo literackie — Kniżowno Drużestwo, którego organ, *Periodiczesko Spisanie*, wychodził jeszcze w Braile w Rumunii, kiedy na ziemi bułgarskiej było to niewykonalnem. Dotychczasowi członkowie Towarzystwa zostają członkami Akademii aż do wymarcia. Prezesem wybrano Geszowa, który obok kwalifikacyi intellektualnych, ma ten przymiot, że jest panem milionowym; ofiarował w zeszłym roku na założenie Akademii przeszło 100 000 franków, a teraz zamierza złożyć podobną ofiarę. Wiceprezesem wybrano Mileticza, znanego i w Europie lingwistę.

„Sławianska Besieda“ w Sofii urządza od czasu do czasu koncerty z utworów muzycznych słowiańskich oraz bezpłatne odczyty publiczne literackie i polityczne w sprawach, mających obchodzić Słowiańszczyznę. Taki też odczyt zaprodukowano 5. marca n. st. **o upadku Rzeczypospolitej polskiej,** który ściągnął do sali sporo publiczności z inteligencyi i garstkę przebywających w stolicy bułgarskiej Polaków. Prelegent p. Petro Cenow, dyrektor gimnazyum żeńskiego, wystąpił od razu i szczerze z motywem i podkładem politycznym odczytu w myśl neoslawizmu: Bez pogodzenia się i pojednania dwóch największych i najkulturalniejszych narodów słowiańskich, jakimi są Rosyanie i Polacy, nie podobna myśleć o skonsolidowaniu Słowiańszczyzny i obronie jej przed wspólnym wrogiem, a pojednanie to nietylko jest konieczne, ale możliwe i naturalne, bo zalecone nieubłaganą logiką dziejów. Udowodnić to miała za zadanie historyczna część odczytu, oparta wedle zapewnień prelegenta na „bezstronnych badaniach“ pierwszego zastępcy głównego bibliotekarza Muzeum brytańskiego, p. N. Bain'a; dzieło jego „The last king of Poland and his contemporaries“. London 1909,— w rzeczywistości zaś będąca parafrazą bułgarską parafrazy rosyjskiej rzeczonego dzieła angielskiego, dokonanej przez p. A. Michajłowa w sierpniowym z r. 1910 zeszycie miesięcznika rosyjskiego *Istoriczeskij Wiestnik* p. t. „Paslednij karol Polszy i jewo sowrewienniki“. Trawestacya bułgarska była najczęściej dosłownym niewolniczym przekładem pracy rosyjskiej ze wszystkiemi jej błędami w nazwach i datach, no — i oczywiście w poglądach.

Przed słuchaczami więc roztoczono jaskrawemi barwami odmalowany obraz tłumów egoistycznych, magnatów i szlachty, uciskających lud, wolnych od podatków, a pożerających własność państwową; tłumów zaprzedanych obcym dworom, a barbarzyńskich; rozpustnych do szpiku kości mężczyzn, wiecznie pijanych, a kobiety oddające się pierwszemu lepszemu za pieniądze. Lud przedstawiono jako dzikie hordy, żyjace w ziemi i jaskiniach, poddane grabieży szlachty, jej samowoli i przedajności trybunałów, a kraj cały obok blichtrów pańskości, jako pustynię topieliskową i błotną, bez żadnych komunikacyjnych środków. Anegdotyczne okazy Radziwiłła Panie Kochanku, uczącego się abecadła strzelaniem do liter, Mikołaja Potockiego uganiającego się za żydami, pierwszego lepszego pijaka, wychylającego duszkiem dzban szampana (sic!), pierwszą lepszą kokietkę podano za typy powszechnej ignorancyi, rozbójnictwa, opilstwa, prostytucyi. Dla prelegenta i jego pierwowzorów nie istnieją pocztowe urządzenia, jedne z pierwszych wprowadzone przez Zygmunta Augusta i Władysława IV., nic nie chcą wiedzieć o wspaniałym rozroście nauk i literatury za Zygmuntów i w erze stanisławowskiej, o tłumnem uczęszczaniu szlachty na uniwersytety paryski i włoskie, o własnych polskich akademiach krakowskiej, zamojskiej, wileńskiej, połockiej, o całej tej gęstej sieci szkół zakonnych i niezakonnych, które pokrywały całą Polskę do tyla, że z liczbą ich dzisiejszy nawet stan w prowincyach pod Rosyą porównać się nie da.

Dla nich nie istniała reforma szkół Konarskiego i wspaniała działalność Komisyi edukacyjnej, która użyła funduszów skasowanego zakonu Jezuitów na udoskonalone szkolnictwo. Ale za to zdaniem ich biskupi polscy rozdrapali dla siebie milionowe skarby zakonu tego. Znając magnackich i szlacheckich rabusiów kraju, tudzież zbrojne kupy ich

dworzan, nie chcą nic wiedzieć o ofiarności ich dla tegoż kraju w obronie jego swoją krwią i własnem mieniem. Liberum veto w oczach ich to ustawa kardynalna, ale nic nie wspominają o przeciwwadze jej w konfederacyach, gdzie rozstrzygała większość głosów. Porwanie Stanisława Augusta — to dzieło anarchii lub zbójeckie: ani słowa o konfederacyi barskiej. Konstytucya 3-go Maja to nie dzieło czteroletnich narad Wielkiego Sejmu i dojrzałości odradzającego się narodu, ale teatralne coup d'etat Stanisława Augusta, który niczem innem nie jest w tym obrazie, jeno komedyantem i rozpustnikiem siedzącym po uszy w długach i w kieszeni Katarzyny, tudzież jej ministrem. Kościuszko i Książę Józef wspomnieni tylko epizodycznie, mimochodem, bez walk pod Dubienką i powstania ludu w 1794 r.

Za to Katarzyna II występuje jako narzędzie Opatrzności, zmuszona postąpić tak, jak postąpiła, działając zarówno w interesie Rosyi jak Polski, której większą część uratowała z pazurów pruskich. Że zaś oczywiście nie rozpatrywano epoki legionów, W. Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, powstań 1831 i 1863 r., ani też okresu wielkiej literatury, mickiewiczowskiego, a tem mniej dzisiejszego stanu kultury w Polsce, a postawiony był od samego początku frazes prelegenta o wielkości i świetności narodu polskiego, pozostawia się przeto domyślności słuchacza dośpiewanie sobie w duszy, że tę wielkość i świetność zawdzięcza się Rosyi, która wyrwała Polskę z toni i że przeto niema po co kaprysić i żywić urazy, lecz pod batutą pierwszej iść dalej naprzód ku szczęściu i chwale Słowiańszczyzny, quod erat demonstrandum. —*g.*

(*w.*) **Bułgarskie szkolnictwo w Turcyi** zdobywa sobie coraz więcej placówek. W Macedonii, w okręgach carogrodzkim i drinopolskim są już oddawna szkoły bułgarskie, tolerowane dawniej przez władze tureckie. Po wojnie o niepodległość stosunek Turcyi do ludności i oswiaty bułgarskiej uległ na pewien czas zmianie. Zamykano szkoły, rozpraszano środowiska i instytucye oświatowe. Przekonano się jednak, że tego rodzaju taktyką nie zetrze się żywiołu słowiańskiego z terytoryum państwowo tureckiego, a zwłaszcza Bułgarów, którzy mają oparcie w sąsiedniem własnem państwie, znajdują tam podnietę i ciągłą pomoc.

Szkolnictwo bułgarskie w Turcyi rozwija się zupełnie niezależnie od władz rządowych. Bułgarzy nie wymagają od rządu tureckiego poparcia materyalnego, utrzymują szkoły z funduszów własnych, które składają się przedewszystkiem z opodatkowania całej ludności bułgarskiej na rzecz oświaty narodowej. Bułgarscy zaś obywatele nie szczędzą większych datków, aby dzieło posuwało się naprzód.

Spojrzmy na kilka cyfr, aby przekonać się, że zakusy turczenia bułgarskiej ludności musiały być bezowocne. Ostatnimi czasy widzimy tam około 800 szkół ludowych, do których uczęszcza przeszło 20 tysięcy dziatwy, a do wydziałowych z górą 900. Wydziałowe szkoły przekształca się w miarę potrzeby na t. zw. progimnazya, z zastosowaniem programu bułgarskich szkół państwowych. Progimnazyów takich mają Bułgarzy w Turcyi około 70, średnich zaś zakładów naukowych 10, w tych jedno seminaryum duchowne w Carogrodzie.

Sił nauczycielskich jest około 1500 dla szkół ludowych i wydziałowych; 150 dla szkół średnich. Kwalifikacye nauczycieli muszą odpowiadać wymaganiom przewidzianym w ustawach szkolnictwa w państwie bułgarskiem.

† **Dragan Cankow** zmarł 24 marca, licząc lat 84. — Mając już zeszyt zamknięty, musimy artykuł o nim odłożyć do następnego.

Druk ukończono 31 marca 1911 roku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.

Rok jedenasty wydawnictwa.

PORADNIK JĘZYKOWY

Miesięcznik poświęcony poprawności języka polskiego, wychodzi od r. 1901 w Krakowie, na początku każdego miesiąca, z wyjątkiem sierpnia i września.

Przedpłata roczna wynosi: w Krakowie K 2 h 50, z przesyłką poczt. K 3, w Warszawie rb. 1 kop. 50, z przesyłką poczt. rb. 1 kop. 80, w krajach należących do Związku pocztowego franków 4.

Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą.

„Slavisches Tagblatt“

„Unparteiisches Organ zur Wahrung und Förderung slavischer Interessen“

wychodzi w Wiedniu codziennie z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych.

Dziennik ten, poświęcony obronie interesów słowiańskich wobec władz centralnych i forum parlamentarnego, nie jest organem żadnego stronnictwa i nadaje się do informowania objektywnego i bezstronnego o sprawach narodów słowiańskich.

Prenumerata kwartalna 9 kor., miesięczna 3 kor. wraz z przesyłką pocztową.

Adres redakcyi i administracyi: Wien IX/1 Thurngasse 8.

Wyłącznie prawdziwe szlachetne kamienie w oprawie poleca Ferdynand Hofmann
Kraków — Sukiennice Nr. 17.

Widnokręgi

DWUTYGODNIK,

poświęcony kulturze polskiej, wychodzi (rok II.) we Lwowie 10. i 25. każdego miesiąca pod redakcyą **Bronisława Biegeleisena, Leona Biegeleisena, Tadeusza Dąbrowskiego, Józefa Jedlicza, Maryana Olszewskiego** i **Ludomira Różyckiego.**

WIDNOKRĘGI

rozpoczynając drugi rok wydawnictwa, zdołały pozyskać dla współpracownictwa jeszcze szersze niż dotychczas koło ludzi, dla sprawy kultury narodowej zasłużonych, którzy będą zasilać stale uwzględniane w „Widnokręgach“ działy: **filozoficzny, społeczny, krytyki literackiej, sztuk plastycznych, muzyki.** Każdy zeszyt zawiera prócz artykułów syntetycznych, **dział beletrystyczny** i urozmaicone przeglądy.

Na każde żądanie prospekt i spis rzeczy I. rocznika bezpłatnie.

Bardzo nizka prenumerata wynosi:

Kwartalnie: 2 kor. 70 gr., 2 mar. 50 fen., 1 rb. 50 kop.
Półrocznie: 5 kor. 40 gr., 5 mar. — fen., 3 rb. — kop.
Rocznie: 10 kor. 80 gr., 10 mar. — fen., 6 rb, — kop.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. św. Marka 6.
Adres Administracyi: Lwów, ul. Czarnieckiego 3.